Nr 2. Kraków, listopad 1920. Rok I.

OGNIWO

MIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY POLITYCE, NAUCE I SZTUCE.

REDAGUJE KOMITET. — REDAKTOR NACZELNY: JAN OWIŃSKI.

PRENUMERATA: ROCZNIE 240 MK. — NUMER POJEDYNCZY 20 MK.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
KRAKÓW, MAŁY RYNEK L. 4, I. — TELEFON Nr 1286.

Upiorne widmo przyszłości.

(-o-) Straszliwy polip niemiecki wyciągnął swe chciwe macki po władztwo świata. Ogarnął swym wpływem politycznym jednę część Europy, drugą wciągnął w orbitę swych wpływów gospodarczych; pokusił się i zdobył kolonje afrykańskie i w Oceanji; szeregiem mądrych traktatów z dogorywającą Turcją sięgnął wreszcie na wschód, drogę zaczął budować do Bagdadu i stopę swą twardo postawił na dalekim Wschodzie. Potęga niemiecka rosła z zawrotną szybkością, olbrzymiała i zdało się, że nic jej już w drodze nie stanie. Oddawna czuła to jednak i widziała Anglja i spryt swój cały i wszystkie środki zebrała, aby się bronić, aby strzec swego dotychczasowego stanowiska w świecie. — Przyszła wojna, straszna i nieubłagana, na śmierć i życie. Mówiło się jako o jej przyczynach, o antagoniźmie austrjacko-serbskim, o odśrodkowych dążeniach ludów habsburskiej dynastji, o antagoniźmie rosyjsko-niemieckim, o rewanżu francuskim i t. p., tamta jednak przyczyna, spór angielsko-niemiecki o władanie nad światem, był głównym motorem wojny. Niemcy padły. Zwycięska koalicja pozbawiła je natychmiast floty wojennej i handlowej oraz kolonij; ucięte zostało doszczętnie to ramię, które z portów niemieckich wyciągało się przez morskie obszary na dalekie, dające bogactwa lądy. Tam zapanowała prawie niepodzielnie Anglja,

mająca już teraz dwóch tylko konkurentów: Stany Zjednoczone i Japonję. Poobcinane ze wszech stron Niemcy cofnęły się w głąb swych narodowościowych dziedzin, dały się bez protestu silniejszego krajać i obcinać, rezygnując zupełnie z czynnej roli na zachodzie; nie wyrzekły się jej jednak na wschodzie. Tu rozsiadło się młode państwo polskie, utworzone w części z „mówiących po polsku Prusaków“, idące z żywiołową siłą do ujścia Wisły, odcinające gdańskim korytarzem Prusy wschodnie od masy niemieckiej, wyciągające rękę po skarby górno-śląskie. Niemcy wiedzą i czują, że to państwo silne i skonsolidowane, gospodarczo rozwinięte będzie samo przez się założeniem tej silnej obręczy od wschodu, jaką od zachodu założyła im Anglja; wiedzą one, że taki stan byłby do nich czemś zabójczem, że wkrótce zabrakłoby im powietrza dla swobodnego oddechu. Stąd widzimy we wszystkich akcjach przeciwpolskich niemiecką rękę; na Litwie, w Bolszewji, u Denikinów, Kołczaków i Wranglów, na Ukrainie, u rozsadzającego nas żydostwa, oraz pośrednio w stosunku Anglji do Polski. Tu stary duch niemiecki, idący w nowej tylko formie „nach Osten“, przejawia się na każdym kroku coraz to groźniejszy, bo kierujący tu wszystkie swe rozporządzalne siły.

Polska już od całego szeregu wieków popełniała jeden, wielki błąd; wpatrzona w czarujące ją „zielone grzęzawisko“ Wschodu, pchana tam jakiemś dziwnem pragnieniem wielkich i szerokich przestrzeni, odwracała się od dorzecza Odry i... Wisły, tracąc tam jednę twierdzę po drugiej i ustępując Niemcom krok po kroku z odwiecznych sadyb lechickich. Wynikało to po części z naszego wiecznego romantyzmu, rolniczego charakteru ludności i polskiej lekkomyślności. Zdobywaliśmy laury na wschodzie, ustępowaliśmy zaś przed systematycznym, spokojnym, z zaufaniem w swe siły kroczącym Niemcem, który i teraz, nawet tem bardziej teraz, gdy mu drogę na zachód odcięto, na wschód iść chce i jeśli ma żyć, iść musi. Grozie niebezpieczeństwa musimy spojrzeć po męsku w oczy i szukać środków zaradczych.

*
* *

Jeżeliby niebezpieczeństwo niemieckie, grożące Polsce, wyrażało się jedynie w formie militarnej, wystarczałoby nasze równoczesne pogotowie zbrojne, sojusze z bliższymi lub dalszymi sąsiadami; to mogłoby nam niepodległość zabezpieczyć; współczesność ma jednak jeszcze inne formy podboju, nie militarne. Obecnie

można stopniowo konfiskować niezależność ekonomiczną pewnego kraju, stłumić działalność przemysłową, rolniczą i intelektualną jakiegoś narodu, którego niepodległość ogłasza się zresztą urzędowo. Jest to wprost oszczędność wojny dla narodu, który jej w danej chwili prowadzić nie chce, lub nie może. Ten podbój nam grozi ze strony Niemiec w chwili obecnej, podbój tem straszniejszy, że działa w nim cały szereg sił niewidzialnych, cały szereg skrytych potęg, których obliczyć i dokładnie poznać nie można.

Na czem polega siła Niemców, która im pozwoliła stać się groźnymi całemu światu, która cały ten świat przeciwko sobie skierowała, a następnie całemu światu szereg lat się oprzeć zdołała?

P. Lair przypisuje niemieckiej rasie: cierpliwość, skromność, rozum w pomysłach, metodę w działaniu, giętkość umysłu, łatwość przyswajania sobie języków i zwyczajów obcych, przystosowywanie się do instytucyj, a nawet przesądów ludów, wśród których żyją. Te cechy wykształciły i połączyły w harmonijną całość szkoła i wychowanie „Bürgera". Utarło się zdanie o t. zw. „koszarowości", o „wytresowaniu" obywatela niemieckiego; wszystko to prawda. W Niemczech nie było typu obywatela wolnego; Niemiec był „tresowany" — zwłaszcza w kierunku ładu i porządku. Niemiec przedwojenny nie bawił się w doktrynerstwo myślenia, „pryncypja" miał na eksport, sam zaś uwzględniał przedewszystkiem realne warunki życiowe, które wskazywały mu żelazną koordynację społeczeństwa, jako środek do osiągnięcia „wielkiej, niemieckiej myśli" — władania nad światem. Ta koordynacja niemiecka, silna spójnia narodu, zmieniona wprost w maszynę, kierowaną przez jednostkę w sposób biurokratyczny i militarny, tkwiła w duszy każdego Niemca; czcił ją jako świętość lejbgwardzista cesarski, wynosił ją nad społeczny układ francuski wódz niemieckiego socjalizmu Bebel. (Kongres w Amsterdamie w r. 1904.) Te spójnia sprawiła to, że cały naród niemiecki dokonał cudów organizacji i pracy na każdem polu.

Dla zorjentowania się wystarczy kilka cyfr. W roku 1870 miały Niemcy 20 tysięcy kilometrów kolei żelaznych — w trzydzieści lat później 60 tysięcy, oraz 15 tysięcy kilometrów wewnętrznych dróg wodnych. W roku 1870 flota parowcowa niemiecka liczyła 147 statków o 82 tysiącach ton pojemności, w kilkadziesiąt zaledwie lat później jedno tylko Towarzystwo (Hamburg-America Linie) posiada 249 statków o 650 tysiącach ton. —

A towarzystw tych było więcej — siedm wielkich, światowych, nie licząc mniejszych i prywatnych. Węgla produkowały Niemcy w r. 1870 — 26 miljonów ton (1 tona = 1000 kg) przed wojną przeszło 140 miljonów. W r. 1890 przywozili do siebie towarów za 4.272 milionów marek, wywozili zaś za 3.409 miljonów; w roku 1906 przywozili już za 5.706 mil. marek, wywozili zaś za 5.789 miljonów marek. Cyfry ostatnie będą jeszcze wyraźniejsze, gdy zauważymy, że w przywozie liczbę 4.032 miljony marek obejmują sprowadzone surowce, w wywozie zaś 4.399 miljonów gotowe fabrykaty; reszta oznaczać będzie przywiezione fabrykaty, względnie wywieziony surowiec.

O szybkości uprzemysławiania się Niemiec świadczy ruch ludności; w roku 1870 na ludność przemysłową przypadało 36%, bezpośrednio przed wojną około 60% ogółu mieszkańców. Mimo tego rolnictwo pokrywało 85% zapotrzebowania Niemiec, gdy n. p. w Anglji zaledwie 16%. Niemcy utworzyli najlepsze na świecie szkoły przemysłowe i rolnicze, na usługi przemysłu i rolnictwa oddali wszystkie najnowsze zdobycze nauki i wiedzy; oddali im najlepsze swe siły ręki i umysłów. Były przed wojną fabryki wyrobów chemicznych w Niemczech, dla których pracowało po stu kilkudziesięciu specjalistów chemików (n. p. Farben-Fabrik w Eberfeld miała ich 145); uczony Niemiec nie kryje się z swą pracą w laboratorjach, lecz wytrwale pracuje dla przemysłu ojczystego. Dla tego przemysłu pracuje uczony teoretyk i praktyczny inżynier i robotnik. Wytrwale sekunduje mu kupiec i niemiecki „Reisender". Przed kilkudziesięciu jeszcze laty powątpiewano w zdolności kupieckie „ciężkich i opasłych" Niemców; zapominano jednak o ich przeszłości, bodaj hanzeatyckicj. Wkrótce powątpiewanie zmieniło się też w zdumienie: Niemiec stał się najtęższym kupcem w świecie; najsprawniejszym, bo pobił stanowczo Anglików na tem polu. Opanowywał zwolna i systematycznie rynki całego świata, i zaczął robić konkurencję handlowi angielskiemu w samej Anglji. Marka „Made in Germany" była swego czasu pogardliwą oceną kiepskich niemieckich towarów na rynku angielskim; przed wojną stała się ona o tyle chlubą towaru niemieckiego i świadectwem wytrwałej pracy niemieckiej, iż przemysłowcy angielscy i amerykańscy chętnie ją na swym towarze umieszczali.

W ten sposób Niemcy Leibnitza i Schillera przybrały cechy kultury czysto materjalnej i materjalizmu praktycznego. Taki człowiek, jak Nietzsche, mówi n. p., że „wykształcenie wyższe jest

przygotowaniem, najmniejszym kosztem największej ilości młodzieńców, zdolnych do spełniania pożytecznych funkcyj w wielkiej maszynie socjalnej“.

Dążność do zdobyczy materjalnej uczyniła Niemców gromadą dorobkiewiczów, albo już wzbogaconych, albo wzbogacić się mających, zarozumiałych ze swej potęgi swą pracą uzyskanej, pełnych tupetu i buty i bezczelnej zarozumiałości. Dla przeciętnego Europejczyka niezrozumiałym był wprost brutalny Niemiec, bezwzględny i chciwy; niezrozumiałym był okrzyk Bismarcka: „Spędziłem noc na nienawidzeniu“ — a Bismarck był przecież najczystszym wyrazem duszy współczesnego Niemca. Nienawidzono ich dlatego, ale nienawiścią, pełną obawy.

Nie było może współcześnie państwa drugiego, w którem rząd monarchiczny, militarny, biurokratyczny i prawie absolutny był w takiej zgodzie z narodem, tak wypływał z wewnętrznej potrzeby duszy obywateli, jak w Niemczech. Naród z rządem współdziałał w dziele tworzenia potęgi. Inicjatywa wychodziła od jednostek, zrzeszeń i grup; największe centra przemysłu i handlu niemieckiego: Frankfurt, Brema, Lubeka i i. były chlubą prywatnej inicjatywy przedsiębiorców i robotników. Rząd inicjatywę popierał, często kierował, zawsze otaczał troskliwą opieką. Drzewo potęgi niemieckiej rosło i zacieniać poczęło horyzonty całe.

Przyszła wojna i klęska militarna Niemiec; koalicja zniszczyć się starała i potęgę ich materjalną.

* * *

Jeszcze trwały targi wersalskie, a Niemiec już demobilizował swe siły wojenne, mobilizował swe siły do pracy, zmieniał na gwałt charakter swej wojennej produkcji. „Republiki“ niemieckie przeszły kryzys polityczny, cała Rzesza jednak, choć pookrawana, stała niewzruszona, politycznie silniejsza może, niż przed wojną. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że mimo wielkiej spójności dawnego cesarstwa niemieckiego, sprawy kilkudziesięciu dynastyj panujących i ich czasem rozbieżne interesa oddziaływały odśrodkowo; obecnie to znikło, został chyba jedynie pewien nie odgrywający jednak roli — tam, gdzie o interes Niemiec chodzi — antagonizm południowych katolików do północnych protestantów. Wysunęła się jednak nie nowa, lecz drastycznie występująca kwestja robotnicza. Robotnik niemiecki, na którego spoglądały sfery rewolucyjne świata wzrokiem pełnym nadziei, był w czasie wojny pod-

porą wojującego niemieckiego kapitału, obrońcą dynastji, tępiącym bezwzględnie samodzielne odruchy narodowe „towarzysza proletarjusza“ z Górnego Śląska. Nie zdradził i po wojnie swego „niemieckiego boga“; służy mu wiernie, starając się osiągnąć w produkcji miarę przedwojenną. Państwo troskliwie o nim myśli i pracę jego ujęło już w nowy, praktyczny system, wolny od doktryn, wolny od „pryncypjów — Made in Germany“ — które poszły na eksport, w tym wypadku z uwolnieniem od cła. System ten jest dziwnem uzgodnieniem interesów klas posiadających z robotnikiem, dziwnem w Niemczech, ojczyźnie walki klasowej.

Już dnia 18 listopada 1918 r. uznane zostały robotnicze związki zawodowe za urzędową reprezentację klasy robotniczej; równocześnie tworzyć zaczęto związki przemysłowców różnych zawodów. Każda gałąź przemysłu, przemysłowcy i robotnicy łączą się w t. zw. „Arbeitsgemeinschaft“, w którem jedni i drudzy mają głos równy, zatrzymując pozatem zupełną autonomję. Regulują one cenniki pracy, regulują produkcję, zwalczają bezrobocia, prowadzą racjonalne biura pośrednictwa i t. d. Związki te, lokalne, łączą się razem w wielki „Reichsarbeitsgemeinschaft“ dla każdej gałęzi przemysłu. Zarządy obiera się w równych ilościach przez obydwie strony zupełnie autonomicznie. Na czele wszystkich tych zrzeszeń państwowych stoi jeszcze wspólna „Zentralarbeitsgemeinschaft“ także ze wspólnych — na równych prawach stron obu — wyborów pochodząca.

Jak różnorodne są funkcje tej centrali, dość będzie wymienić 8 głównych komisyj, które się zajmują: 1. Zarobkami i warunkami pracy; 2. prawodawstwem społecznem i ubezpieczeniowem; 3. polityką ekonomiczną; 4 surowcami; 5. węglem i transportem; 6. kwestją finansową; 7. wykonaniem traktatu pokojowego; 8. regulaminem wewnętrznym. W centrali pracuje zgodnie robotnik-proletarjusz niemiecki z kapitalistą; tam więc, gdzie chodziło o dobro całości, znikł interes klasy. Centrala podniosła produkcję, wniosła w nią rygor i porządek, zmieniła 8-godzinny czas pracy na 9-godzinny; w Niemczech niema strajków. Doktryna ustąpiła przed chłodnem obliczeniem bieżących warunków.

Niemcy gwałtownie się odradzają, zyskują coraz więcej na znaczeniu, stają się znów czynnikiem na rynku światowym. Kolonij zamorskich nie mają, rynki zachodnie zagarnęła Anglja i Stany Zjednoczone. Duch niemiecki ma jednak „siłę rzutu“ — jak to określił Supiński — jest czynny i ekspanzywny i zna już dobrze

drogi do podbojów. Nie mogąc iść na Zachód bez floty handlowej i sił militarnych morskich, zwróci się tam, gdzie obecnie zwrócić się może po linji najmniejszego oporu. Toczą więc wielką, podziemną walkę o Rosję, jej surowce i rynki, oraz o państwa nowo powstałe; sekunduje jej w tem Anglja, pozbywając się bodaj chwilowo w ten sposób groźnego konkurenta. Na drodze jednak stoi Polska i ona musi się stać pierwszym łupem bezkrwawego podboju. Czy do obrony przygotowana? Czy zdająca sobie sprawę z grozy niebezpieczeństwa?

WOODROW WILSON.

Dręczące pytania*).

(Tłum. P. Skiba).

Na dnie każdego zagadnienia, które obecnie wstrząsają posadami wewnętrznej polityki Ameryki, tkwi jedna prawda zasadnicza: w kraju naszym wszystko się zmieniło od lat dwudziestu.

Widzimy wschodzącą nową organizację społeczeństwa. Ameryka nie jest już tem, czem była przed dwudziestu, a nawet i przed dziesięciu laty. Nasze stosunki gospodarcze zupełnie się zmieniły, a z niemi organizacja naszego życia. Stare formułki polityczne nie nadają się do naszych dzisiejszych zadań, czytamy je już jak dokumenty z zamierzchłych czasów. Czytając programy partyjne, mamy wrażenie, że należą one do czasów, o których ludzie już całkiem zapomnieli. Sprawy, które przed dziesiątkiem lat włączano do programów stronnictw, wydają się nam przestarzałe. Przed nami stoi wielka konieczność pogodzenia zasad nowego porządku społecznego ze szczęściem i dobrobytem szerokich mas obywateli, ponieważ wiemy, że obecna organizacja społeczeństwa nie służy dobru przeciętnego obywatela. Życie narodu jest niezmiernie skomplikowane. Nie polega ono na zastosowaniu tego lub innego systemu rządów ani też rozdziału władzy, ale na budowaniu i tworzeniu organizacji społecznej; rząd i jego instytucje są dla tego celu jedynie narzędziem. Nasz rozwój dokonał się tak szybko i poszedł tak daleko za granice, które mu dawna konstytucja zakreśliła, tak dalece te granice pogmatwał, stworzył tak nowe formy

---

*) Chcąc uprzystępnić naszym czytelnikom poznanie myśli wielkiego Amerykanina, podamy im kilka jego mów w tłumaczeniu dla nas dokonanem.

przedsiębiorstw, zorganizował trusty i potężne związki handlowe, w obrębie zaś tych granic wytworzył tak różnorodne przejawy życia, które tak jest silne, że sięga poza granice kraju naszego i zwraca oczy świata całego na siebie — iż zdaje się, jakoby powstał nowy jakiś naród, dla którego dawne formułki już nie są wygodne, lub nie dają gwarancji życia.

Wstąpiliśmy w okres, który się wiele różni od wszystkich poprzednich. Wykonujemy pracę i załatwiamy swe sprawy inaczej, niż dawniej — handel i wymiana, praca we fabrykach i kantorach, środki transportowe i komunikacja zmieniły się. Stało się coś takiego, że jednostka znikła. We wszystkich prawie częściach naszego kraju pracują ludzie nie dla siebie, nie pracują — jak to dawniej — jako samodzielni przedsiębiorcy lub wspólnicy, ale w większej lub mniejszej mierze, jako najemnicy wielkich związków. Był czas, kiedy związki w naszem życiu gospodarczem odgrywały bardzo małą rolę; dziś odgrywają rolę pierwszorzędną i przeważna część ludności jest ich najemnikiem. Znamy okoliczności, w jakich odbywa się praca najemnika takiego Towarzystwa czy Związku. Dostęp do tych, którzy Związkiem rzeczywiście rządzą, jest zamknięty. Kiedy Towarzystwo postępuje tak, jak postępować nie powinno, nikt nie ma mocy rzucić na szalę swojego sprzeciwu, bo należy słuchać; często z odrazą musi się wykonywać rzeczy, o których się wie, że godzą wprost w interes ogółu. Wielkie, zbiorowe indywiduum dusi indywidua jednostkowe.

Kiedy najczęściej ludzie w organizacji w ten sposób giną, niektórzy zdobywają tam taką potęgę, jakiejby sami nigdy zdobyć nie zdołali. Ci nieliczni osiągają przez związki i organizację to stanowisko niesłychane, że skupiają w swych rękach nici całego życia gospodarczego i decydują o szczęściu i nędzy szerokich mas ludności. Ludzie już w zaraniu dziejów odnosili się do siebie jako jednostki. Mieliśmy wprawdzie rodzinę, kościół, państwo, urządzenia, które ludzi organizowały w pewną społeczność — jednak w wypełnianiu zwykłych obowiązków i pracy codziennej, miał człowiek zupełną wolność. Obecnie człowiek jest skrępowany prawami grup, interesów i organizacyj. Swobodny stosunek jednostek jest niemożliwy. Nic to innego, jak nowy okres społeczny, nowa era ludzkich stosunków, nowy akt ludzkiego dramatu. Widzimy n. p., że w tym nowym okresie nasze ustawy, regulujące stosunek pracodawcy do pracownika, są zupełnie przestarzałe i często niedorzeczne. Były one wydawane w czasach, których sobie nikt z obec-

nie żyjących nie przypomina; czasy te są od nas tak dalekie i obce, żeby niejeden z trudem je rozumiał, gdyby mu o nich opowiadano. Pracodawcą jest dziś z reguły związek, lub jakaś organizacja; najemnika nie wynajął przedsiębiorca, który go zna i osobiście z nim obcuje; jest on jednym z setek i tysięcy, które różnorodne ajencje na jedno miejsce ściągnęły. Masy robotnicze mają wspólnie wykonać pewne zadanie; obsługują one zwykle groźne i potężne maszyny i nie mają żadnego wpływu na ich naprawę i odnowienie. Należy koniecznie stworzyć nowe prawa dla ich ochrony, nowe ustawy o obowiązkach pracodawców i ubezpieczeniu niezdolnych do pracy.

Takie nowe określenie stosunku kapitału i pracy jest czemś nowem i wielkiem. Wyrosła nowa społeczność, nastały nowe stosunki gospodarcze i my musimy cały splot różnorodnych sił ze sobą pogodzić. Nie możemy potędze przeciwstawić słabości. Pracodawca — jak już powiedziano — jest zwykle nie jednostką, lecz potężną, nieosobistą organizacją; robotnik — według naszych ustaw — w stosunku do pracodawcy jeszcze zawsze jednostką. Pracodawca i robotnik nie są już — jak dawniej — wiernymi sprzymierzeńcami. Przeważną część naszych ustaw wymyślono wtedy, gdy się pracodawca z robotnikiem znali osobiście, znali wzajemne swe usposobienia i odnosili się do siebie, jak człowiek do człowieka. To już przeszło. Robotnik nie ma żadnej styczności z tymi, którzy kierują potężnymi związkami, zresztą o taką możliwość już nawet nie pyta. Nasze nowoczesne związki zatrudniają tysiące, a nawet setki tysięcy najemników. Jedynemi osobami, z któremi można wejść w styczność — są dyrektorzy przedsiębiorstw, lub zastępcy wielkiego Towarzystwa. Takich stosunków nie znał robotnik z tych czasów, kiedy nasze ustawy tworzono. Małe grono robotników, które swych pracodawców codziennie widzieć może i osobiście się z nimi porozumiewać, jest czemś zupełnie innem, jak nowoczesna robotnicza masa, która służy olbrzymiemu przedsiębiorstwu, obejmującemu kraj cały, z której kierownictwem osobisty kontakt jest wykluczony. Różnica sięga głęboko. „Związku“ tak samo widzieć nie można, jak n. p. „rządu“. Niektóry robotnik w życiu swem nie widział ludzi, władców przemysłu, w którym pracuje; tem mniej oni widzieli robotnika. To, co o nim wiedzą, zawierają: „księga główna“, księgi, listy i sprawozdania dyrektorów fabryk.

Braki, które roztrząsamy, nie są brakami umyślnie robionemi— nie wierzę, aby było wielu takich, którzyby to robili; są to braki i błędy systemu. Zastrzegam się przeciwko takiej dyskusji, któraby stworzyła podejrzenie, że niektóre grupy obywateli chcą nas ciemiężyć i krzywdę nam wyrządzać. Mogą być i tacy ludzie; nie wiem jednak, jakby oni spać mogli spokojnie. Dzięki Bogu, jest ich nie wielu. W rzeczywistości objął nas wielki system gospodarczy, który jest bezlitosny. Nowoczesny związek prowadzi interesa nie jako jednostka. Jeżeli się z nim zetkniemy, mamy przed sobą żywioł nieosobisty, bezcielesną część Towarzystwa. Nowoczesny związek jest środkiem współpracy w kierownictwie przedsiębiorstwa, które jest tak wielkie, że jeden człowiek niem kierować nie może; środki jednego kapitalisty nie zdołałyby go sfinansować. Zakłada Towarzystwo, ogłasza warunki, założyciele ustanawiają wysokość akcyjnego kapitału. W jaki sposób go osiągają? Składają go szerokie koła publiczności, z której pewni ludzie rozbierają akcje. Z chwilą, w której się to stanie, Towarzystwo już istnieje. Ludzie oddają mu swe majątki, w mniejszej lub większej wysokości. Pewna liczba ludzi zostaje dyrektorami, dyrektorzy wybierają prezesa. Prezes jest głową przedsiębiorstwa, dyrektorzy są jego czynnymi zastępcami. Czy może robotnik zetknąć się z dyrektorami lub prezesem? Czy publiczność może wejść w styczność z tym prezesem i zarządem, złożonym z dyrektorów? Nie. Czy może ich kto pociągnąć do odpowiedzialności? Jest to prawie niemożliwe. Gdyby ktoś tego próbował, zaczęłaby się ciuciubabka, w którejby sprawa kwestjonowana kryła się raz za poszczególnemi osobami, drugi raz za nieodpowiedzialną korporacją.

Czy ten stan rzeczy uwzględniają nasze ustawy? Czy przynajmniej usiłują rozróżnić czynności człowieka od czynności dyrektora? Nie. Nasze prawa wychodzą zawsze ze starego systemu. Prawo tkwi w martwej przeszłości, którą zostawiliśmy daleko za sobą. Razi to zwłaszcza w odpowiedzialności pracodawcy za nieszczęśliwe wypadki w czasie pracy. Wyobraźmy sobie, że dyrektor fabryki kazał robotnikowi kierować jakąś maszyną i maszyna ta robotnika rani. Nasze sądy przyjmują w takich wypadkach zasadę, że dyrektor fabryki jest współpracującym i dlatego robotnik jego do odpowiedzialności nie może pociągnąć; dyrektor fabryki, który prawdopodobnie robotnika przyjął, nie jest jego pracodawcą. Któż jest jego pracodawcą? Czyjeż zaniedbanie można prawnie zaczepić? Zarząd nie rozkazywał robotnikowi

obsługiwać maszyny, tak samo prezes i t. d. Zupełnie więc jasne, że w ten sposób człowiek nigdy od swego pracodawcy nie otrzyma odszkodowania. Kiedy słyszymy, że sędziowie jeszcze teraz wydają wyroki na zasadach, obowiązujących przed kilkudziesięciu laty, zdziwić się musimy, że sądy nie rozumieją współczesnego życia. Możemy jednak oczekiwać, że sędziowie sami spostrzegą, co w ustawach, przez nich przestrzeganych, nie dorosło do teraźniejszości. To tylko jeden pouczający przykład na trudności, z któremi obecnie należy się liczyć, skorośmy naszego ustawodawstwa nie dostosowali do teraźniejszej rzeczywistości.

Odkąd zajmuję się polityką, udzielali mi ludzie swych poglądów prawie zawsze w tajemnicy. Nawet ludzie znaczący wiele w świecie handlu i przemysłu boją się czegoś. Oni wiedzą, że gdzieś, w czemś tkwi jakaś potęga, tak dobrze zorganizowana, tak czujna, rozrośnięta, doskonała i daleko sięgająca, że lepiej tylko szeptać i zbyt głośno swych ujemnych wyroków nie wygłaszać.

Ameryka nie jest już krajem, w którym, jak to dawniej bywało, każdy mógł sobie zawód obrać i według zdolności go wykonywać bez przeszkód. Kto się dzisiaj na jakiekolwiek pole chce rzucić, trafi na organizacje, które potrafią tyle środków znaleźć, aby niewygodnego intruza zniszczyć. Organizacje postarają się już o to, aby mu się ziemia z pod stóp usunęła i zamknęły się miejsca zbytu. Gdy więc zacznie swój towar małym kupcom oddawać, organizacja i monopol zatrzymuje im oddawanie swych produktów, a zastraszeni kupcy przestają u tamtego zamawiać. I to dzieje się w państwie, które światu obwieściło ideał doskonałych, swobodnych możliwości; dzieje się to w kraju, o którym się mówi, że w nim człowiek nie ma żadnych innych ograniczeń, prócz charakteru i inteligencji, gdzie nie powinny istnieć klasy i różnice krwi, ani różnice stanowiska społecznego — gdzie każdy zyskuje i traci według tego, jak zasłużył.

Szczerze przyznać muszę, że obciąża mi sumienie zagadnienie, czy my dłużej przybyszów do naszego kraju witać będziemy mogli temi słowami. Amerykański przemysł nie jest — jak niegdyś — swobodny, nie jest swobodne amerykańskie przedsiębiorstwo; człowiekowi z mniejszym kapitałem coraz trudniej zbliżyć się do placu walki, a już wprost niemożliwe stanąć do zapasów z wielkiemi. Dlaczego? Ponieważ nasze prawa nie biorą w obronę słabego przed mocnym; a ponieważ mocni zdusili słabych, panują teraz nad przemysłem i gospodarczem życiem naszego kraju. Nikt

zaprzeczyć nie może, że zmysł przedsiębiorczości ma u nas coraz ciaśniejsze pole przed sobą; każdy, kto zna rozwój naszego przemysłu, przekonał się, że otrzymanie większego kredytu jest u nas rzeczą coraz trudniejszą, bo ciąży on w tę stronę, która panuje nad przemysłem. Każdego, kto odważy się stanąć do walki w gałęzi przemysłu opanowanej przez wielki kapitał, albo się szybko niszczy, albo zmusza do sprzedania przedsiębiorstwa, albo się wreszcie stawia przed koniecznością klęski.

W Stanach Zjednoczonych należy wiele odnowić. Chciałbym usłyszeć zdanie kupców — zdanie szerokich mas wszystkich kupców— czy oni uważają amerykańskie stosunki kupieckie, lepiej mówiąc organizację handlu za zadawalniającą. Wiem, coby na to powiedzieli, gdyby mieli odwagę po temu. Gdyby mogli przeprowadzić tajne głosowanie, uchwaliliby przygniatającą większością, że obecna organizacja handlu służy wielkim, a nie małym kupcom. Całą organizację przykrojono dla tych, którzy stoją u szczytu, jest ona tak urządzona, aby wykluczyć początkujących, nowy przypływ ludzi uniemożliwić i nie pozwolić na wzrost przedsiębiorstw konkurencyjnych, któreby mogły wejść w drogę monopolowi trustów. Naszemu krajowi brakuje przedewszystkiem takich ustaw, któreby zajęły się tymi, którzy w handel wchodzą, nie zaś, którzy się tam ugruntowali. Ludzie bowiem, którzy są już „skończeni“, nie będą żyć wiecznie i nie zawsze zostawiają synów tak dzielnych i rzetelnych, jak oni.

Produkująca część Ameryki, część, która powołuje nowe przedsiębiorstwa do życia, w której robotnik ambitny i uzdolniony może się wybić, klasa, która oszczędza, tworzy plany, organizuje i swe przedsiębiorstwa wytrwale rozszerza, aż spełnią swe narodowe zadania i osiągną narodowy charakter — ten stan średni coraz to raźniej powstaje przez silną dążność do dobrobytu. Kto w tem bierze udział, zyskuje bezwątpienia dobrobyt; co mnie jednak dręczy, to myśl, że oni nie tworzą dobrobytu dla wszystkich, lecz dla grupy bogatszych. Żadne państwo nie może pozwolić, aby jego dobrobyt zależał od małej panującej klasy. Bogactwo Ameryki nie tkwi w mózgach tej małej grupy ludzi, która włada owemi wielkiemi zakładami przemysłowo-handlowemi, których kierownictwo zostało oddane szczupłemu gronu ludzi. Bogactwo Ameryki — to ta ambicja i żądza czynu, która nie jest ograniczoną do jednej klasy. Bogactwo Ameryki zależy od wynalazków nieznanych ludzi, od ich pracy i ambicji. Każdy kraj odradza się przez pocho-

dzących z bezimiennych tłumów, nie zaś z szeregów znanych i możnych.

Do Ameryki wkradły się nieamerykańskie stosunki, pozwalające na to, że grupka ludzi, która opanowała rządy, może otrzymywać od rządu udogodnienia; przez te udogodnienia wyklucza się współobywateli od zysku i wywiera się nacisk, który wnet odbije się na całym przemyśle. W takich stosunkach zapomina się o tych czasach, w których Amerykę znaleźć było można w każdej wiosce, w każdej pięknej dolinie, w których Ameryka wyładowywała swe olbrzymie siły na bezmiernych prerjach, a zapał jej przedsiębiorczości błyszczał na niebotycznych górach i w głębi ziemi. Na czele przedsiębiorstw stali wówczas ludzie z zapałem, nie zaś najemnicy. Nie patrzyli oni na wielkie miasto, aby tam znaleźć to, co mają robić, lecz zastosowywali się do sąsiedztwa, zyskiwali kredyt na podstawie osobistej wartości, nie zaś przez „stosunki"; zyskiwali kredyt na podstawie tego, co o nich wiedziano i czego się spodziewano, a nie na podstawie poręczeń, któreby mogli przedstawić, ocenianych tam, gdzie właściciela zupełnie się nie zna. Aby dziś założyć przedsiębiorstwo, musisz mieć upoważnienie, nie polegające wcale na ocenie twej osobistej wartości, lecz na tej podstawie, że ktoś inny twój zamiar zaaprobuje. Nie możemy już tak, jak ci, którzy budowali Amerykę, przedsiębiorstw zaczynać, jak długo nas ktoś nie upoważni, jak długo związani wielcy kapitaliści nam nie pozwolą. Czy to jest wolność? To zależność, nie wolność!

W dawnych, dobrych czasach, kiedy życie było proste, uważaliśmy, że rząd nie ma nic innego do roboty, jak włożyć mundur policjanta i ogłosić: „Nie wolno drugiemu przeszkadzać!" Zwykliśmy byli mówić, że dla każdego jest ideałem taki rząd, który go pozostawia w spokoju, z wyjątkiem, gdyby się przeszkadzało drugiemu; że taki rząd jest najlepszy, który najmniej rządzi. Była to zasada, która panowała w czasach Jeffersona. Teraz zaczynamy poznawać, że nie mamy do czynienia z dawnemi stosunkami, że życie się skomplikowało, że prawo musi wkraczać i tworzyć nowe warunki, które mają nam życie uczynić znośniejszem.

Twierdzenie swe chcę wytłumaczyć. Przedtem posiadała każda rodzina miejska swój domek; każda rodzina miała swój własny kawałek ziemi i każda przeto rodzina żyła odosobniona od drugich. Tego już niema w nowoczesnych wielkich miastach. Rodziny mieszkają w przenajrozmaitszych budynkach czynszowych; mieszkają w spiętrzonych koszarach czynszowych, pokój obok pokoju, tak,

że w przeludnionych częściach miasta na jednę ubikację przypada jedna rodzina.

Za granicą poszli ludzie pod tym względem dalej, niż my. W Glasgowie n. p. — Glasgow może służyć za przykład i to najlepszy — ogłoszono wejścia do wielkich domów czynszowych i klatki schodowe za publiczne ulice. Policjant wchodzi więc do klatek schodowych i dogląda kurytarzy. Zarząd oświetlenia miasta oświetla te kurytarze dostatecznie; zarząd miasta nie uważa tych domów za stanowiące osobną jednostkę, od której policja i władze miejskie powinny stronić, ale orzekł: „Tu są publiczne drogi, one muszą być oświetlane, władze miejskie powinny ich pilnować“.

Porównuję z tem nasze wielkie, nowoczesne przedsiębiorstwa. Towarzystwo podobne jest do wielkiego, czynszowego domu; on nie jest także własnością jednej rodziny; należy je uważać stanowczo za rzecz publiczną, podobnie, jak dom czynszowy za sieć dróg. Jeżeli ofiarowywuje się akcje jakiegoś towarzystwa komuś, kto je chce kupić, musi się mu zapewnić prawo wglądania w stosunki towarzystwa. Kurytarze — zostajemy przy przykładzie z czynszowym domem — muszą być oświetlone, strażnicy muszą strzec wejść i wszędzie tam, gdzie możliwą jest omyłka w ocenie stosunków, konieczny jest dozór. Jeżeli uważamy omyłki i niebezpieczeństwa za możliwe, musimy mieć możność rozstrzygania, czy nasze podejrzenia są słuszne.

Także i stosunek do pracy jest dziś inny, niż był za czasów Jeffersona. Odkąd pewna grupa ludzi wynajmuje inną grupę, nie jest to już sprawa prywatna. Sędziowie więc, którzy wyrokują na podstawie ustawy o robotnikach gospodarczych, że robotnikowi nie wolno w sposób pokojowy drugiego od pracy odwodzić, tkwią zupełnie jeszcze w tych minionych czasach. Stosunek dwu gromad do siebie wymaga publicznego dozoru i powinien być przez państwo uregulowany.

W czasach Jeffersona prawo zupełnie się nie troszczyło, jak ktoś prowadzi swe domowe gospodarstwo. Odkąd jednak mój dom, t. zw. moja własność prywatna, stał się ogromną kopalnią, w której ciemnych krużgankach ludzie narażać się muszą na różne niebezpieczeństwa, aby z głębi ziemi wydobyć coś, co jest potrzebne całemu narodowi — i odkąd znów ta kopalnia nie jest prywatną własnością jednego, ale należy do wielkiego, akcyjnego towarzystwa, zmienić się musiały i poglądy na tę sprawę: rząd zyskał prawo wejścia do tych kopalń, aby się przekonać, jak tam żyją

ludzkie istoty; czy jest tam dosyć środków bezpieczeństwa na wypadek katastrofy; czy użycie wydobytych skarbów zgadza się z nowemi gospodarczemi metodami. Jeżeli sobie ktoś na budynku umieści drąg do wieszania ogłoszeń, który jest źle przytwierdzony, albo sterczy nad ulicą, ma zarząd miasta prawo postarać się, aby drąg tak przymocować, żeby nie groził zawaleniem. Każdy stan, czy Stany Zjednoczone, na mocy swego prawa, może postarać się o to, żeby w tych wielkich ulach, w których każdym chodniku roją się ludzkie gromady, życie szanowano, żeby ludzkie płuca miały czem oddechać. To są tylko unaoczniające porównania. Żyjemy w nowym świecie, pracujemy według zasad starego. Jeżeli się przypatrzymy naszemu obecnemu życiu i przeglądamy tę nową widownię skomplikowanych gospodarczych stosunków, znajdujemy wiele więcej takich rzeczy, które nie są w „porządku“.

Najbardziej niepokojącym znakiem czasu, oraz najcharakterystyczniejszą oznaką nowej społecznej ery jest zakres i rodzaj stosunku rządu do świata interesów; lepiej mówiąc, byłoby to niepokojącem, gdyby naród się nie przebudził i nie oświadczył, że jest swoim panem. Mówię o tym nacisku, jaki wielki handel wywiera na rząd. Poza tą kwestją kryje się zasada, że w nowym okresie musi być rząd ściśle zespojony z handlem; rodzaj tego związku jest jednak obecnie niedopuszczalny i niewłaściwy: rzeczy najmniej ważne stoją na miejscu najważniejszych. W ostatnich latach opanowali nasz rząd kierownicy zjednoczonych towarzystw, które przedstawiają specjalne interesa. Tych interesów rząd nie dopilnował i nie wyznaczył im określonego miejsca w gospodarczym systemie, ale poddał się ich wpływom. Skutkiem tego są zgubne zwyczaje i system protekcyjny, który rząd wprowadza (najlepszym tego przykładem taryfy); wpływ ich rozciąga się na ustrój całego życia, godzą one w każdego mieszkańca kraju, wszelkiemu współzawodnictwu wyrządzają dotkliwe krzywdy, nakładają opłaty w każdej dziedzinie i niszczą wolny pęd amerykańskiego ducha. Rozwinęło się to z naturalną koniecznością. Nie trzeba tu niczego i nikogo winić, bo to przecież ludzkie usposobienie. Jest to jednak stan nieznośny, jeżeli rząd wymknie się z rąk ludu i przejdzie w ręce jednostek, które swoje interesa mają na oku, nie zaś dobro ogółu. Jako konsekwencja tej zależności pojawiła się ta moc skandali, krzywd i brudnych spraw, które przepełniają naszą politykę. Są w Ameryce miasta, których zarządy przynoszą nam hańbę. We wszystkich częściach państwa są miasta, o których

wiemy, że nie służą dobru ogólnemu, ale interesom samolubnym pewnych jednostek, gdzie interesa prywatne idą przed ogólnemi; objaw ten widzimy nietylko w miastach większych. Kto nie przekonał się, że skłonność do socjalizmu szerzy się w małych miasteczkach? Przed kilku miesiącami zatrzymałem się w małem miasteczku, i, oczekując na pociąg, rozmawiałem z pewnym młodym człowiekiem, który przedstawił mi się, jako burmistrz; wyznał też że jest socjalistą. „Jakto“ — zapytałem — „czy więc miasto socjalistyczne?“ „Nie“, odpowiedział, „nie łudzę się tem zupełnie; zaledwie 20% moich wyborców, to socjaliści; reszta, 80%, to „protestujący“. Myślał o proteście, jaki obywatele wnieśli przeciwko dwom przywódcom innych partyj.

W całych Stanach Zjednoczonych pogłębia się przekonanie, że nie my mamy wpływ na bieg wypadków. Ja żyłem w jednym z największych stanów Unji, który był niegdyś ujarzmiony. Jeszcze przed dwoma laty widzieliśmy, pełni troski, że wzrasta tam duch prawie cynicznego zwątpienia. Ludzie mówili: „Bierzemy udział w wyborach; przedstawiają nam program wyborczy, jakiego żądamy. Wybieramy jakiegoś człowieka, który ten program wyznaje: i nic nie zyskujemy“. Następnie zadawano pytania: „Jaki cel mają wybory? Wiemy, że każda z partyj cel możnych tylko ma na oku, dlatego jest rzeczą bezpożyteczną oświadczać się za tą, lub ową“. To nie ogranicza się do kilku rządów stanowych, lub kilku większych i mniejszych miast. My wiemy, że coś wcisnęło się między lud Stanów Zjednoczonych i kierownictwo jego spraw. W ostatnich czasach w każdym razie lud tam nie panował. Dlaczego stoimy na progu przewrotów? Ponieważ jesteśmy do głębi zaniepokojeni wpływami, które ciążą nad kierownictwem naszego życia publicznego i polityki. Był kiedyś czas, kiedy Ameryka miała ufność w siebie; szczyciła się tem, że sama jedna ma ludowy ustrój rządów; dziś widocznie niebo jej się zasępiło, i ona widzi nowe jakieś czynniki, o których w młodości swej nie myślała.

C. d. n.

Z ludowej poezji.

Znane są powszechnie nazwiska poetów ludowych takich, jak: M. Szarek i J. Tomkiewicz z nieżyjących, Jantek z Bugaja (A. Kucharczyk), głuchoniemy Ferdynand Kuraś i inni, których zbiorki poezyj rozeszły się w tysiącznych egzemplarzach po Polsce.

Ciekawej tej literaturze, którą tworzą ludzie bez t. zw. wykształcenia, dla których jednak jest ona rzeczywistą i stanowczo niesfałszowaną potrzebą duszy, w której „coś gra“ i na zewnątrz się dobywa często w chropawej, nieumiejętnej i nieliczącej się z „wzorami“ formie — poświęcimy w niedługim czasie rozprawkę, pisaną przez jedno z wybitniejszych piór. Obecnie dla zapoznania naszych czytelników z samym materjałem, podajemy zbiorek wierszy kilku „młodszych“.

Józef Feret. (Klęczany, w Ropczyckiem.)

O wolną Polskę.

O wielki Boże! O władco świata,
My uciśnieni, my dzieci Twe —
Polskę rozdarła nam ręka kata
A my rzęsistą ronimy łzę...

Czyliż pozwolisz, o wielki Boże,
By wróg mógł nadal krew naszą pić —
I by wyciskał łez naszych morze?
Czyliż już zawsze musi tak być?

O, wielki Stwórco, królu na niebie,
Ty, który wszystko pod władzą masz!
O wolną Polskę prosimy Ciebie...
Bądź nam miłościw, o Ojcze nasz!

Daj nam, o Boże — byśmy dożyli
Takiego czasu, co w bój trza iść —
O wolną Polskę byśmy walczyli,
Byśmy zdobyli wawrzynu liść!

O daj nam Boże, by jasna zorza
W nieszczęsnym kraju zabłysła już;
I by od morza — hen, aż do morza,
Kraj mnóstwem wolnych zakwitnął róż.

Siew.

Ledwo że musnął wiosenny wiew,
Ledwo spękały lodowe kry,
Ledwo się ozwał skowronków śpiew,
Deszcz zrosił, jak sierot łzy —

Wyszliśmy w pola, by w Imię Boże,
Na szarej roli rozsiewać zboże.

I rozpogadza się nasza skroń,
Do nieba łzawy wznosimy wzrok,
Te drobne ziarna ujmując w dłoń,
Mierzym po roli powolny krok:
I rozsiewamy dłońmi twardemi
Ziarno — w te niwy ojczystej ziemi.

Oby nam raczył niebieski Pan
Pobłogosławić ten siewu trud —
By nam dość chleba dał swojski łan —
Byśmy nie znali, co to jest głód!...
Obyśmy chleba dość swego mieli,
U obcych szukać go nie musieli...

Hej, koso!...

Hej, koso ma stalowa — koso ty błyszcząca!
Ty świętą relikwią, pamiątką mi miłą!
Gra twych blasków w promieniach porannego słońca,
Napełnia mnie wspomnieniem, radością i siłą —
Gdy cię biorę do ręki, by z poranną rosą
Kosić te kwietne łąki, co miłą woń niosą.

Kiedy błyśniesz swym blaskiem, koso moja, w oczy —
W duszy się rodzi marzeń, nadziei — tysiące;
Zda mi się, że grom jasny na wrogów się toczy,
Że się budzą już hufce, gdzieś w Tatrach drzemiące,
Że powstają do boju zaklęci rycerze,
Że to lśnią się ich srebrne zbroje i pancerze...

A gdy zadźwięczysz stalą, koso moja droga,
To na myśl mi się suną Racławickie dzieje...
Zda mi się, że gdzieś idą w bój święty na wroga,
Że już wietrzyk wolności gdzieś zdaleka wieje —
Bo dźwięki twoje, koso, wspominają mile
Dnie zwycięstwa, radości i triumfu chwile.

O, koso moja stalna — ukochana koso!
Ty budzisz wspomnień rzewnych i radosnych wiele...

Zaświadczyłaś, że chłopi sztandar Polski niosą,
Że chłopi za Ojczyznę stają w boju śmiele,
Że losy Polski w chłopskiej spoczywają dłoni,
Że chłop Ojczyznę zbawi — chłop Polskę obroni!

Piotr Adamek z Manasterza.

Jak to było pod Kraśnikiem...

Tak to było pod Kraśnikiem,
kiedyśmy szli pełnym szykiem,
kiedy polskie pułki ławą
szły na bitwę wielką, krwawą
z wrogiem, co nam ziemię kala,
kiedyśmy szli bić Moskala...

Hej! te nasze polskie chłopy
leżą, jak skoszone snopy
krwawe; krwawe było żniwo,
a śmierć polską przeszła niwą!
Granat jęczy, rżą szrapnele,
łan się modrym kwiatem ściele.

Jak na odpust w Kochawinie,
Tyle zewsząd ludu płynie.
Zda się, Polska wyszła cała
tam, gdzie wrogów jest nawała...
z pod jednego wszyscy znaku
chłopcy — idą do ataku.

Tak to było pod Kraśnikiem...
Zawył wróg piekielnym rykiem,
rwą się lasy, sypią góry,
biegiem rwą na szturm Mazury.
Kto ich wstrzyma, kto przemoże,
kiedy w sercu pomsta gorze?

Za tę krzywdę, za niewolę,
za te ciągłe łzy i bóle,
za sybirską kaźń i męki
nadszedł wreszcie dzień odwdzięki!
W ziemię wrył się wróg, jak krety:
Na szturm! Chłopcy! Na bagnety!

Jeszcze słonko na błękicie,
a już Moskal żegna życie!
Nie śpią jeszcze w krzach ptaszęta,
a forteca szturmem wzięta!
A po polach i po lesie
już się sława naszych niesie...

Matula.

Śpij spokojnie, żołnierzyku,
Choć wiatr w lesie hula —
Wysłała cię na wojenkę
Staruszka matula.

Krzyżem świętym pożegnała,
Gdyś szedł na wojenkę...
Sama poszła z bólu, z żalu
W czarną lec trumienkę.

Na jej martwe, święte ciało
Padły ziemi grudki,
Gdyś ty stawał do szeregu
Przy dźwiękach pobudki.

Gdyś ty gromił mężnie wroga,
Grób pokryła trawa...
Liść oprószył białe brzózki,
Ziemia kwiat przywdziała...

Hej, przywdziała kwiat czerwony
Z krwi wzrosły i znoju!
Żołnierzyku, śpij cichutko
I dumaj w spokoju.

Pod kamieniem, w szczerem polu,
Spoczywasz na piasku...
I z matulą swą pospołu
W bożym chodzisz blasku.

I matuli rozpowiadasz,
Pełen dumy, chwały...
Jak te polskie nasze chłopcy
Krew swą przelewały.

I ukażesz, jak twe serce
Wskróś przeszyła kula...
I radością się zapłoni
Twa droga matula.

I uciechą się rozjaśni
Matuleńka miła,
Że ku chwale swej ojczyzny
Na świat cię zrodziła.

Stefanja Młodzianowska (Bronowice Małe).

List.

Hanuś ma droga — słowa pozdrowienia
Ślę Ci z oddali — i z mgły zapomnienia
Budzę Twe serce wspomnieniem słonecznej
Przyjaźni naszej serdecznej.

Gdyśmy się z sobą — Hanuś — poznały,
Dusze się nasze zaraz zrozumiały;
I kwiat przyjaźni wzrósł między nami,
Który trwać będzie latami...

Pamiętasz, Haniu, jakośmy radośnie
Marzyły nieraz o kwiatach i wiośnie —
Idąc miedzami pól żyznych — pachnących,
Czerwienią maków kwitnących...?

Lub czy pamiętasz onych gwiazd miljony,
Co się rozsiały hen... na wszystkie strony —
I ku nam słały swe promyki wdzięczne
W ciche wieczory miesięczne...?

W piersiach czułyśmy jakąś radość nową,
Chodząc tą jasną drogą księżycową —
Nucąc, żartując, jak swawolne dzieci —
Był razem z nami czasem i ktoś trzeci...

Myśmy dla siebie gwiazdki wybierały,
By nam swem światłem drogę wskazywały...

Pamiętasz — którą on wybrał dla siebie,
By mu świeciła w potrzebie...?

Szybko umknęły w dal te szczęsne chwile,
Jako pył z kwiatka — gdy skrzydła motyle
W swoim go locie pieszczotliwie trącą —
W wieczorną ciszę marzącą...

— Jakże ja pragnę, mój drogi Aniele,
By Ci los szczęście przeznaczył w udziele;
By mknęło życie Twe w wiecznej radości,
Na jasnych różach miłości.

Bo dla mnie — Hanuś — przyznam Ci się szczerze,
W spełnienie życzeń i szczęścia nie wierzę...
Bo ono dla mnie jest nieznanem tchnieniem,
I niedościgłem marzeniem...

Bo i to, Haniu, powiedzieć Ci muszę,
Że Bóg tak dziwną stworzył we mnie duszę,
Że mi nic życia zapełnić nie może...
Wciąż za czemś tęsknię — mój Boże!

I dusza moja, jako ptak skrzydlaty,
Rwie się gdzieś w górę z progów wiejskiej chaty...
Lecz trudno — losu odmienić nie może,
Poddać się musi w pokorze.

Lecz czy szczęśliwa?... Hanuś moja, złota,
Bądźże mi zdrowa — nie znaj, co tęsknota,
Nie znaj, co smutek — co dręczy i pali —
Jak wiatr wiejący z oddali...

Bądź-że mi zdrowy, mój różany kwiecie!
Niechaj Ci szczęście wieniec z kwiatów plecie;
Niech w życiu Twojem lśni wieczysta wiosna,
Bez cienia chmurki — radosna!

Robert Rydz z Trynitatis (Bochnia).

Do Raby.

O Rabo moja, cudna ty rzeko!
Rozkoszna, cicha i błoga!
Wiem ja, skąd płyniesz i jak daleko
Prowadzi łożysk twych droga.
Nie mijasz w drodze mej wioski,
Która się w tobie przegląda,
Tobie zanosi żale i troski
I wody twoje ogląda.
Rabo ty moja, rzeko ojczysta!
Gdy obok ciebie na roli
Usiędę, słyszę, jak płynie czysta
Skarga o naszej niewoli.
Słyszę, jak smutno nucą twe fale
Wspomnienia świetnej przeszłości —
Widzę, jak płyną, niosąc swe żale
Do brzegu lepszej przyszłości.

O jakże cudny jest ten świat...

O jakże cudny jest ten świat Twój, o Boże!
Wszystko, co widzim, to rąk Twoich dzieło;
Tyś na niebiosach pozapalał zorze,
Z Twego rozkazu morze gwiazd błysnęło...
Tyś nam umaił gaje, bory, łąki,
Ty rozśpiewałeś te szare skowronki.
Ty umaiłeś bujnym kłosem łany,
By nam nie brakło powszedniego chleba,
Tyś za nas cierpiał i znosiłeś rany,
Byłeś wzgardzony za nas i wyśmiany;
To wszystko za nas, by nam zbliżyć nieba.
Cóż za Twe dary dać Ci i katusze?
Nic, tylko czyste swe serca i dusze!
Ty tego żądasz wiekuisty Panie;
Ale serc czystych tak mało na świecie:
Słyszę zgrzyt tylko, bluźnierstwa, szemranie.
To za Twe rany i ukrzyżowanie
Ród faryzejski wieniec z cierni plecie...
Lecz ja Cię błagam, o Chryste, ze łzami:
Daruj złym winy, zmiłuj się nad nami!

Szczepan Orzech z Krzywskich Porąb.

Jesień.

Lecą już z drzewa pożółkłe liście,
Nagie już sterczą konary —
I mgłami sieją gęsto, rzęsiście
Zimne, jesienne opary.

I jakoś smutno świat ten wygląda,
I słońce jakieś zamglone
Z nieba na ziemię smutno spogląda,
Jakby schorzałe, strudzone.

I wszędzie smutno i wszystko smutne
I cała smutna natura,
Jak gdyby szaty wzięła pokutne,
Taka posępna, ponura.

Lato minęło, przychodzi zima,
Bieda się wkrada pod strzechy,
A tu dobrego nic niema — niema,
Znikąd nie widać pociechy.

Poszli ojcowie, bracia, kochanki
I drogie sercu istoty.
Poszli; mijają wieczory, ranki,
A dzieci płaczą — sieroty.

I coraz gorzej i coraz bardziej
Na duszy smutek osiada,
Coraz złośliwiej i coraz hardziej
W oczy spogląda już biada.

Lecz ta nadzieja w sercu jest błoga,
Że jesień minie i zima,
I zło przeminie z pomocą Boga,
A człowiek wszystko przetrzyma.

Józef Jurek z Miechowic.

Ojcom i braciom...

A gdy wśród śnieżnych pól
Wilijna przyjdzie noc,
Łka w naszych sercach ból,
Przesmutna żalu moc...

I do was w siną dal
Stęskniony biegnie głos;
Za tobą ojcze — żal,
Co krwawy znosisz los...
I serce mi się rwie,
Że lecieć bym tam chciał,
Do Ciebie, bracie mój,
Do tych alpejskich skał...
Do ciebie bracie mój
W rumuńską ziemię — hen —
Lecę — braciszek twój —
W ten wigilijny sen...
Skądś słychać krwawy jęk —
Wilijna gwiazda drga...
Po zmarłym synu tak
Nieszczęsna matka łka...
Mkną myśli szukać was,
Bracia, Ojcowie, wy —
Gdzie bór, wołyński las
Gdzie Dunaj modry lśni.
A waszej piersi ból
Ulata z lekką mgłą,
Gdzie dom wśród śnieżnych pól —
Gdzie dzieci „gwiazdkę“ tlą...

Fr. R. Biedroń.

Cieniom dziewicy.

Pamięci męczennicy polskiej, Karoliny Kózkowny, ze wsi Sietnica ad Radłów, która w obronie swej cnoty z ręki Moskala zginęła.

Zwiędłaś, jak kwiecie kosą, ścięte.
Lata wiośniane zmroził szron...
Dla nas Twe imię drogie, święte!
Wszak Cię męczeński uśpił zgon.

Przemoc brutalna wroga-kata
W grobowy Cię zepchnęła chłód,
Żeś w skarby cnoty swej bogata
Nie chciała znać — co grzechu brud!

Małoż męczarni, ofiar mało,
Że na twe — dziewczę — opadł kir
W purpurę krwi owite ciało,
Że przykrył je cmentarny żwir!

O! dziewcząt polskich jasny wzorze,
Niewinny kwiecie naszych łąk —
Skoro na Bożym świecisz Dworze,
Wybłagaj dla nas koniec mąk!

Jan Czeluśniak z Wójtowej.

Do rodzinnej wioski.

O rodzinna wiosko moja!
Żal mi, że cię odejść muszę,
Bo tak piękna szata twoja,
Żem ukochał cię nad duszę.
Sam Bóg przybrał cię w tę szatę,
Zdobiąc cię w góry i lasy,
Łąki i pola bogate
Tak, żeś cała pełna krasy.
Tu się kiedyś urodziłem,
Wychowałem; od młodości
Wszystkie chwile tu przeżyłem:
Szczęścia, smutku i radości.
Tu ma wioska rozłożona;
Piękno i czar od niej wionie;
Tu ma chata pochylona,
Tu ma praca na zagonie.
Tu kościółek, ten dom Boży —
W nim chrzest święty był mi dany,
Tu ten ludek wiejski, hoży
Tak mi bliski, tak kochany.
Tu ta szkoła z dzwonkiem stoi,
Która mi naukę dała;
Tu rodzice drodzy moi,
Tu rodzina moja cała.
Tu mój sad, co z każdym rokiem
Kwitnie i rodzi owoce,

Tu zagajnik nad potokiem,
Tu bydlątka me robocze.
Tu wraz z ojcem kawał niwy
Uprawiam, sieję i orzę.
Tu czuję się wciąż szczęśliwy,
Boś tu wszystko dał mi, Boże!
O rodzinna wiosko miła!
Jakże więc opuszczać ciebie,
Kiedyś dla mnie rajem była,
Kiedym miał tu, jakby w niebie!
Lecz Ojczyzna w bój zaczęty
Woła, do walki na wroga;
Obowiązek spełnić święty
Pójdę i ja — w imię Boga.
I choć serce mię tak boli,
Jednak wszystko muszę rzucić,
Lecz może mi mój Bóg pozwoli,
Jeszcze z wojny tu powrócić.

Franciszek Wielgus.

Kuchnia polowa.

Z dymiących kotłów wojskowi kucharze
Wyjmują mięso zabitego wołu;
Gromadka dzieci ciśnie się do stołu,
Gliniaki w rączkach — wyschnięte ich twarze.

Bezdomna dziatwa po wioski pożarze
„Dajcie nam — prosi — w garnuszek rosołu,
Bo my barz głodne!“ I razem pospołu
Dzielim z tą dziatwą codzienne „menaże“.

Biedne wy dziatki! Tatusia nie macie,
Poszedł na wojnę, a matula chora
Leży przy zgliszczach w uplecionej jacie.

Dobytek skradła moskiewska potwora.
Ale nie płaczcie — po wszystkiego stracie;
W nędzy dojrzewa zmartwychwstania pora.

LUDWIK STASIAK.

Barć w niepołomskiej puszczy.

Z gawęd starego leśnika.

Zostało z przesławnej puszczy kilka wspomnień historycznych i drzew niewiele więcej, niż wspomnień. Wytrzebili, wytępili niezmierne obszary. Po zabraniu dóbr królewskich zesłano na puszczę niepołomską zgraję urzędników z Wiednia, którzy zaczęli w niej okropną niemiecką gospodarkę. Aby się tylko cudzym dorobkiem obłowić, aby w zabranem gnieździe zrobić majątek na cudzej krzywdzie. Mórg lasu za trzy złote niesumienny starosta sprzedawał; ministerstwu rzetelny las jako wydmę i piaski przedstawiał, fałszywe rachunki składał, aby tylko grosz na królewszczyźnie zrobić, aby uciec z nim napowrót do Wiednia. Gospodarka rabunkowa zrobiła swoje. Z końcem marca śnieg leży tylko w parjach, w rowach i wybojach; ile z zimowego całunu śniegu zostało w marcu, tyle z olbrzymiej puszczy niepołomskiej zostało dziś lasu.

Żyją w niej wspomnienia królewskich łowów. Starzy ludzie wskazywali miejsce, gdzie zachorował na polowaniu król Kazimierz Wielki, gdzie opadnięta przez niedźwiedzia Bona, poroniła. Oto resztki drzewa pozostały, pod którem nocował król August Mocny. Zachowało się podanie o Janie III. Do starego żołnierza swego rzekł Sobieski: tyle ci daruję puszczy, ile jej sobie przez cały dzień oborzesz. Pokazują duży, jak na dzisiejsze czasy, majątek, który pochodzi z owego oboranego pługiem szmatu puszczy. Dożył naszych czasów żywy królewski przywilej: w bocheńskim powiecie mieszka wśród lasu chłop, którego król polski szlachectwem obdarzył, od podatków po wieczne czasy uwolnił, polanę z lasem na własność nadał. Starzy ludzie współcześni pamiętają lata, w których dziedzice leśnika, opierając się na swym przywileju, austrjackim poborcom podatku odmawiali; w ostatku fiskus zwyciężył, chłop podatek płacić musi. Ale napróżno starał się c. k. zarząd lasów i domen wywłaszczyć go, eksproprjować, wyrzucić z ojcowizny, która, wśród domeny położona, bruździła c. k. urzędnikom rządowym. Kilka razy sprawa w sądach się toczyła, pergamin króla polskiego zwyciężył, chłop przy roli pozostał. Dano mu wreszcie spokój, zostawiono w puszczy nobilitowanego kmiecia. Zostawiono na roli dziedzica królewskich leśników.

Prześliczne urny z Mikluszowic i Chełmu, zdobiące dziś zbiory krakowskiej Akademji umiejętności, dowodzą, że w prastarej

puszczy były uroczyska, gdzie Światowidowi i Dziedzilji ofiary składano. Z nowych historycznych czasów dochował się czerwony kościół w Niepołomicach, budowany przez Kazimierza Wielkiego, ostał się zamek królewski w temże mieście, przerobiony dziś na cele utylitarne. Mistrz renesansu wykonał przepyszną wjazdową bramę, ustroił ją w rozety, przypominające niesłychaną rozmaitością form arcydzieło Berecciego na Wawelu; dawniejszy c. k. sąd co rok bramę wjazdową tynkował i bielił, lakierował ją i odnawiał. Setki warstw wapna dzieło sztuki pokryły, brutalny murarz potrafił zakryć, zeszpecić, zniszczyć, zdewastować pracę Zygmuntowskiego artysty.

*
* *

Gdzie dziś wsie, role, wydmy piaszczyste, tam szumiał niegdyś nieprzejrzany, niepołomski bór, żyją puszczą stada żubrów i jeleni, lecą do Wisły ugasić pragnienie.

*
* *

Stado jeleni spłoszył na brzegu ruch i hałas wielki. Ludzie po pas we wodzie brodzą, łodzie kręcą się po Wiśle, rybak złożył przy ustach ręce na kształt wylotu trąby i pachołków na pomoc nawołuje. Oto w niewodzie szamoce się szczupak na dwa łokcie długi, targa wątłą sieć, szarpie się i mota; jeśli rybak wczas nie zwinie długiej sieci, wyrwie się zdobycz z matni, na Wisłę poleci. Bieży przez piaski pomoc, dopadli rybacy grabczaka, do którego niewód przymocowany, ujęli sieć za brzegi, w górę dźwignęli, ryba już nad wodą, znieśli ją na łódź i w głąb berlinki wrzucili. Tłucze się zwierzę na dnie rybackiej łodzi, podskakuje w górę, wije się; straciło na powietrzu przytomność, ślepe rzuty czyni, bezradne już i bezsilne. Łódź przybiła do brzegu, szczupaka na podściółkę iglic sosnowych rzucono, rybacy idą teraz do nadbrzeżnych wiklin, gdzie od wczoraj założone są więcierze. Wszedł kmieć we wodę, nogami dno rzeki bada, chodzi omackiem, stopa natrafiła wreszcie na więcierz, rybak dobył z Wisły ogromne narzędzie plecione z wikliny. Strugi wody zeń się leją, we wnętrzu łopot, szelest, szamotanie się rozpaczliwe. To ryby. Jeden, drugi, dziesiąty więcierz z wody wydobyto, na polanę je pacholęta niosą, otwarli zawiązane łykiem wieko, zdobycz na trawę rybak wysypuje. Liche płotki napowrót do wody wrzucono, grube ryby do chaty rybaczej znoszą. Tam ruch ogromny, tam przed opłotkiem leży rozpłatany olbrzymi żubr...

— Będzie weselisko!

— Pół boru zleci się na gody!

— Zjechały cygany, grać będą od ucha!

— Warka piwa w kadzi się chłodzi.

— Godyż moje, gody!

— Oj godyż moje, gody! — krzyknął jękiem i łkaniem dziaduś, który na nalepie pod oknem siedzi, wśród zielonych chmielów, i płacze.

— Znowu płaczecie?

— Weselić się wam i radować naszą ochotą?!!

— Weselić się?! Weselić, mówisz?! Tak?! Co ty masz w rękach?

— Żubra ćwiartuję toporem.

— Chodź do mnie z toporem, chodź.

— Czego chcecie, ojcze?

Rozpiął starzec giezło, ukazał nagą pierś i woła z płaczem:

— Rąb!

— Oszalał ten człowiek!

— Rąb, moja córko. W mej piersi piekło zgryzoty, w niej mieszka pamięć... Wyjmij toporem serce, wyrzuć z niego pamięć, wyrzuć z niego żałobę...

— Cichoj-że, ojcze.

— Wesele u nas i gody. A na godach nie będzie brata twego...?

— Niech Bóg świeci nad jego duszą.

— Dziecko moje! Syn mój! Skoczył w zieloną Wisłę, z wezbraną wodą do morza popłynął. Dajże mi jastrzębie skrzydła, chcę w świat lecieć, jako rybitwa nad Wisłą szybować, zajrzę do Sandomierza, do Warszawy i Gdańska, dowiem się, gdzie płynie, gdzie się poniewiera, w jakiem wiklu i namulisku mego dziecka trup. Moje biedne dziecko!

— Wyrzucono go, jak psa, serce mu rozdarto!

— Zapukał do bogatej bartnika zagrody. Nie grosz go tam wiódł, lecz serce. Że ja biedny rybak, że biedna moja chateńka, to on...

— Odtrącił go od dziewuchy.

— Kopnął go nogą, wołając: Idź — precz, dziadu!

— Oj poszedł ci, poszedł.

— Poszedł na Wisłę...

— Nie płacz, ojcze, nie płacz.

Zerwał się starzec na nogi, oczy w dal wytrzeszczył, jakby o dziecku zapomniał, jakby myśl na inne poleciała szlaki...

— Miodu mi daj pszczelnego!

Ze zdziwieniem na ojca patrzy córka.

— Czego żądasz ojcze?

— Miodu — mówiłem.

— Na co? Od tygodnia ciągle mówisz jedno i to samo...

— Patrzysz na mnie, jakbym zmysły stracił.

— Bo...

— Daj mi miodu!

— Bo ciągle miodu się ojcze napierasz. Wszystkich wędrownych pytam się kramarzy, flisów prosiłam, aby miodu dla ciebie kupili...

— Przyrzekłaś, pamiętaj.

— Choćbym do Krakowa miała iść.

Zaśmiał się starzec gorzko.

— Do bartnika bliżej, on ma tysiąc pni.

— Znowu wspominasz bartnika? Zapomnij ojcze. On przed Bogiem za mego brata odpowie, na jego córce pomsta losu wisi.

Zacisnął pięści siwy dziaduś, zmarszczoną twarz zapalczywością, oczy gniewem zagorzały.

— Losu, mówisz?! Nie będę ja ci czekać na los. Moja pomsta nad nim wisi!

Krzyki nad Wisłą słychać, pacholęta, które mokre sieci rozwieszają na wierzbach, wołają:

— Flise! Flise!

— Na galarach kramarze!

Cała osada rybacka na brzeg Wisły poleciała. W przededniu wesela szczęsny los zaprawdę zesłał krakowskich kramarzy. Oni z flisakami aż po Gdańsk płyną, narzędzia gospodarskie sprzedają, sól i korzenie rozwożą, skóry wilcze, lisie i niedźwiedzie kupują.

Gospodyni, która ciasto na weselne kołacze miesiła, z radością woła:

— Alkiermasz! Muszkat!

— Na gody nasze zjechało się szczupaczysko z szafranem.

Rybacka drużyna kupców otoczyła, galar wre targiem i ludzkim gwarem; jarmarczyli się długo, pogodzono się wreszcie; kupiec pieprz, bobek, cynamon, muszkat sprzedał, miech z towarem zwija, rybacy wrócili do domu. Już galar miał z miejsca ruszyć,

już flis odwiązał powróz od nadbrzeżnej olszyny, gdy na brzeg przywlókł się dziaduś.

— Hej! A co wy za jedni?

— Kupcy z Krakowa.

— Co wieziecie?

— Czego dusza wasza zapragnie. Kłódki ze Śląska, płótna z Oświęcimia, sól z Wieliczki, samopały i obuchy z Krakowa.

— Nie dla mnie obuch i samopał.

— Mamy „bruse“ i osełki z Tatr, wino z za morza, z puszcz śląskich miód...

— Miód?!

— Kupcie, staruszku.

— Pokaż! Podaj! Dawaj!

— Przaśna patoka, na płuca dla was zdrowa.

— Co chcecie za ten czaplak?

— Daj dwie wilcze skóry.

— Groszem rzetelnym płacę.

— Pięć złotych polskich.

Trzęsą się starcowi ręce...

— Masz! Masz! — krzyknął siwiec, czaplak w ręce łapiąc. Leci ku chacie i mówi sam do siebie: Masz! Masz!

*
* *

Dziwnie wesoły już starowina po chudobie się snuje. Cały dom wre przygotowaniem do wesela. Dziaduś sam w czeluści pieca zapalił, kręci się wśród bab, które kołacze pieką, podpłomyki krokoszem barwią, wśród dzieci, które w donicach trą mak, wśród dziewek, które ryby i żubrze polędwice sprawiają. Jakby lżej było mu na sercu, jakby zbliżające się gody i w jego pierś weselem wstąpiły, radość w krew wniosły, ukojenie i zapomnienie przeszłości dały. W wiślanej fali stracił syna, ostała się przecie córa, pojutrze mąż jej w dom przyjdzie, pojutrze chałupa ta rybacka zadrży weselem, radością, gędźbą muzyki cygańskiej.

. . . .

Wyszedł z domu po jużynie, z chaty, w puszczę leci, grabowy kostur w jego ręce, lipowa kobiałka wisi na rzemieniu, przewieszona przez ramię. Znikł w gąszczu podszytego lasu, chaty mija, w czarny bór idzie, nie stanął, nie spoczął, aż umilkł gwar rybaków, myszkujących po wodzie, aż znikł ślad człowieka, stopy i ręki ludzkiej w przedwiecznym lesie. Przed oczyma jego dziki

bór. Nie zaznała ta puszcza topora. Drzewo sto, dwieście, tysiąc lat rośnie, aż piorun weń uderzy, aż stoczone przez robactwo w czasie burzy runie. Runęło, grzyb je złoty toczy i ziemia pełna ziarn niebo ujrzała, dziesięć żołędzi pękło; na miejsce starego dębu dziesięć nowych rośnie, dziesięć latorośli pnie się do słonka. Zwyciężył jeden, resztę współzawodników cieniem zdusił, na zwaliskach i zgniliźnie starego drzewa, nowe drzewo buja. Trafił starzec na zapadłą, głuchą polanę, żywej duszy naokoło niema, usiadł na grabie, radość dziwna w jego oczach, gorączkowa rzeźkość i ochota. Zrzucił z ramion ciężką kobiałkę, czaplak miodu z niej dobył, cudaczny zaprawdę widok, niezwykły obraz ludzkiej pracy. W kobiałce kamień okrągły a płaski, z brudnej szmaty drożdże starowina wydobył, szczapą drzewa, patokę na kamień kładzie, drugim kamieniem pilnie miód przaśny z drożdżami mięsza. Trze kamieniem aż się bryja pieni, coraz więcej miodu z czaplaka dobywa, coraz raźniej pracuje, aż na pooranem czole zaperlił się pot. I znowu kosą zastrugał lipinę, warzechę z niej robi, miód z kamienia zgarnuje, do czaplaka go kładzie; rzucił kamień, w glinianym garnku bez końca mięsza, pracuje, aby drożdże w calizną patoki się złączyły. Słońce zaszło, noc światło wyławia, noc przerwała dziwną starca pracę. Wytarł warzechę o mchy, czaplak kawałkiem pęcherza zawiązał, wstawił go do kobiałki, znowu w drogę idzie...

Patrzy pilnie na niebo, gwiazd jeszcze niewiele — błędny krok staruszka, który drogi nie jest pewien. Gęsty, odwieczny bór niebo przed oczami zasłania, trafił wreszcie na pustą wydmę piasków, na gwiazdy spojrzał, radość zajaśniała na licach na widok tych gwiazd... Patrzy pilnie, gdzie jest Wóz Dawidowy, gdzie są Kosy, a gdzie Mleczna droga...

— Tam!

Już wie kierunek drogi, ku zachodniej stronie nieba przez podściółki suchych dębowych liści idzie. Czasem potknie się na gładkim korzeniu, pomknie się na pazdurach, czasem stąpi na grzyb, rozlazł się pociec (sic!), poślizła się noga, mało na ziemię nie runie, czasem przedzierać się trzeba przez gąszcz jałowców, przez świerczyny, które przędzą suchych gałęzi drogę zagrodziły. Wszedł w labirynt młodych brzezin, stanął nagle...

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! Amen.

Łomot okropny, jakby się ziemia zapadła, jakby się świat walił: to żubr obudzony zerwał się i przez gwoździenice wali.

Ćwierć mili uleciał, a jednak słychać huk łamanych olsz, które mu w drodze stanęły...

Ścichło wreszcie, starzec znowu idzie. Na każdej polanie niebu się przypatruje, z ust jego słychać szept:

— Dobrze idę! Dobrze.

Wóz Dawidowy stanął na środku nieba, gdy podróżny zwolnił kroku. Bystro przed siebie patrzy, ostrożnie stąpa, jakby się bał napotkać człowieka, jakby się bał zdradzić ślad drogi. Snać jest już u celu... Rozchylił zielone gałęzie grabów, w dal patrzy...

— Wichłaczu!! Morderco!!

Przed oczami starca pasieka niezmierna. Ogromny zrąb, na zrębie łan pni. Jak okiem przejrzysz, pień przy pniu. Wygląda ten niezmierny ogród, jako cmentarz pełen pomników grobowych. A każdy pień pszczelny na dębowej przyciesi, każdy uwieńczony słomianym chochołem. Wśród pasieki i za pasieką widok dziwny: tu i ówdzie sosna stuletnia samotnie stoi, u stóp sosny krokwie, u szczytów pnia pod koroną iglic pokład z tarcic zbity: tak człowiek rój dziki ławicą tarcic otoczył. A na kraju pasieki domostwo bogate, chmiele z dachów girlandami lecą, białe jabłka na słońcu się srebrzą, słoneczniki wśród ogrodu, jako ogromne gwiazdy błyszczą...

Patrzy starzec strasznem na gospodę okiem, czoło się gniewem zmarszczyło, wygasłe stare oczy złością zapłonęły, pięść ścisnął, zębami zazgrzytał.

— Tyś pan!! Ale ja w proch zetrę twoje państwo!

* * *

Jakby się bał wyjść z grabin. Wpił oczy w zagrodę bartnika, dech wstrzymał...

— Nie śpią może.

Usiadł na stoku pagórka, wyciągnął stare, zmęczone nogi. Patrzy na gwiazdy...

— Północ minęła. Po północy najtwardszy sen. Niechże w tej chwili siądzie na waszej piersi zmora!!

Zdjął kobiałkę z plec, na ziemi ją postawił, na kobiałce oparł łokcie, w dłoniach ukrył głowę...

— Zetrę ja ci w proch twoje państwo! Boże! Mój syn, moja krew, u nóg twoich leżał o litość prosząc, zmiłowania żebrząc. Oszalało chłopczysko, zmysły straciło, rozum mu twoja dziewka

odebrała. Leżał u twych stóp o dziewuchę prosząc... Kopnąłeś go nogą wołając:

— Idź precz, dziadu!!

Jam dziad, jam biedny rybak. Chałupina jeno i zagroda. Tyś pan. Wyrzuciłeś z domu dziadowskiego syna. Poszedł. Poszedł do Wisły. W ten sam dzień, w którym jego dziewucha z drugim ślub brała. Poszedł na dno. O dajże mi, Boże, orle skrzydła, abym za mem dzieckiem popłynął! Gdzież jesteś krwi moja! Woda cię w morze niesie...

Płacze starzec jak dziecko.

— Tyś bogaty! Twą patoką w Krakowie, w Koszycach handlują, tyś bogaty, ja dziad. Wydałeś córkę za chłopa, miał wiano wielkie, tę niezmierną barć. Tyś bogaty, ale ja mocny, tak mocny, że...

Zamilkł. W siwe kosmyki włosów wpił palce, szelest jakiś i jęk słychać, to starzec łka...

— W którejmżeś synu namulisku i w której wiklinie?...

. . . .

Cisza. Zerwał się na równe nogi...

— Zmógł ich sen — szepcze.

Chwycił w rękę kobiałkę, pasiekę okrąża, żdżar ominął, przez gąszcz ostrożnie się przekrada. Już domostwa nie widać, las pni pszczelnych go zakrył, chata bartnika na drugim końcu pasieki leży. Jeszcze raz nadsłuchuje — cicho — wyszedł wreszcie z za wierzb, płot stary przekroczył, wszedł w rój pni. Ule jabłonki przegradzają, między pniami i ulami starzec się snuje, dech wstrzymuje, aby go kto nie słyszał, chowa się w gąszcz dziewann, aby kto nie podpatrzył jego pracy.

Praca to dziwna.

Z czaplaka garścią miód dobywa, pnie grusz i wiśni nim smaruje, coraz dalej idzie i dalej, niemasz śliwy, którąby opuścił, niemasz drzewa, na któremby nie było śladu jego ręki. Dno w czaplaku już widać, resztki miodu z drożdżami ręką wygarnuje, na drzewa ostatki rzucił, w puszczę napowrót spieszy.

Ucieka. Wpadł w bór, do domu leci...

. . . .

Dziwna rzecz się z nim dzieje. Smutek uleciał. Bieży przez czarny gwozd rozradowany. Wszak pojutrze u niego gody. Jakby już o utopionem dziecku zapomniał, jakby zadość się stało jego żałobie. — Wszak pozostała mu córka, a pojutrze jej wesele. Trzy dni gody trwać będą. Śmieje się starowina na myśl o godach,

leci przez puszczę, odmłodniał pogodną myślą, przedzierając się przez graby, śmieje się, jak szalony się śmieje, śpiewa z radości:

Wszystkie rybki wyszły,
Z jeziora do Wisły,
Proś Boga dziewczyno,
Żeby nazad przyszły.
. . . .
Wyszły rybki, wyszły,
Ino karaś ostał,
Proś Boga dziewczyno,
Żeby ci się dostał.
. . . .
Pływały węgorze,
Pływały karasie,
Kiej mię jeden ściska,
To drugiemu zasię.

Leci przez puszczę rzeźki, rozradowany, wesoły.

*
* *

W ciepły lipcowy dzień pasieka to harfa, która gra rozkoszną harmonją lata. Tysiąc pni, jakby tysiąc pszczolich chat słomianym chochołem krytych, stare ule w ziemię się zakopały, jakby wiek je w gąszcz kostrzew wtłoczył, wśród nich bieleją nowe, ostatniego lata z lipiny wyciosane. A wśród lasu pni morze kwiecia się chwieje: jaskrów, dzwonków, koniczyn i tarek, nie podetnie tu ręka żeńca, pasiecznik nie odejmie pszczołom kwiecia, sam z pól zbiera nasienie i jesienią je w pszczelnym sadzie sieje.

Słonko wysoko na niebie, gorący, upalny dzień, jednej chmurki niemasz na lazurach, a przecie przez niezmierną pasiekę przeciągają chmury. Codzień sto pni się roi, chmury owadu dymią się w pasiece. Wyleciał rój, usiadła królowa na lipinie, z gałęzi jej żywa calizna roju wisi. Na sto kroków usłyszysz, jak pasieka gra...

Gędźba pszczola — zwyczajna to rzecz, a przecie przybiegła córka do bartnika i rzecze:

— Panie ojcze, pasieka gra...

— Nic dziwnego, codzień pszczoły się roją.

— Panie ojcze, pasieka płacze...

Niezmierna moc owadu jęczy. Rozmnożyła się, że oczom radość. Wolę ja moją pasiekę niż szlachecki dostatek. Nie orzę ja i nie sieję, nie pocę się, bo owad na mnie pracuje. Sandomierski pan

nie weźmie tyle w Gdańsku za pszenicę, ile ja w Koszycach, Sączu i Krakowie wezmę za miód.

— W pasiece czarno od pszczół.

— A juści, że czarno. Miód sprzedam, złotemi dukatami oczy jasnemu panu wybiję.

— Od rzeczy, panie ojcze, mówicie.

— Jakto od rzeczy?

— W pasiece naszej dziwne rzeczy się dzieją...

— Co takiego?...

. . . .

Niesłychane rzeczy, niesłychany widok. Upalny dzień, a przecie ani jeden pień się dziś nie wyroił, ani jedna mgławica roju wśród pni się nie błąka. Za to cała pasieka, wszystkie jej pnie, to jeden rój. Nigdy tyle owadów z ulów nie wyległo, nigdy takiej czarniawy pszczół nie widziano. Nie gra to mrowisko, lecz krzyczy, huczy, wyje. Cuda istne się dzieją! Codzień przecie pracownicy wylęgają w pola. Pszczoła wyjdzie z pnia, opuszcza pasiekę, milę, dwie mile leci. Leci na kraj puszczy niepołomskiej, na żywicę sosen leci, na tatarki bocheńskie, na lipy w zakościelach. Dziś wyleciały wszystkie, ale ani jedna granic pasieki nie przestąpiła. Miljony, miljardy owadów w sadzie jęczy...

Wytrzeszczył oczy stary bartnik.

— Co się to dzieje?

— Takiego rojowiska nie słyszałem.

— Takich dziwów nie widziałem.

Jakby cała pasieka się roiła.

— Nie roje ci to przecie, nie roje...

— Pszczoły po gałęziach jabłoni łażą.

— Kwiatka się żadna nie tknie.

— Jakby na pniach żer miały...

— Na konarach drzew, na ścianach uli...

— Gałęzie jabłonek czernią się od owadu.

— Trzeba zajrzeć, co się stało, na oczy widzieć.

Poszedł bartnik ze zięciem i córką w pasiekę. Znają ich dobrze pszczoły. Starego bartnika nie tknie się owad, choć on w ul, w czarniawę owadu rękę włoży, choć rój kotłujący się na gałęzi gołemi rękami zbiera i w nowy pień przenosi. Od pięćdziesięciu lat żadna pszczoła krzywdy mu nie zrobiła, każde maleńkie jestestwo zna swego opiekuna i gospodarza.

Dziś... ledwie kilka kroków uszli:

— Jezus Marjo!!

Z wściekłością rzucił się na ludzi owad; tysiące pszczół bartnika opada i kąsze. Córka oko ma podcięte, jej chłop rękami rozjuszony owad zgarnuje. Uciekli wszyscy do krynicy, wodą odpędzili rozzłoszczony owad.

— Sąd Boski i kara Najwyższego.

— Co się to dzieje!?

— Na dobro nasze rzucił djabeł czary...

. . . .

Na drugi dzień spokój w pasiece i cisza wielka. A ta cisza strachem w sercu bartnika wyje. Bo słoneczko wyszło pod środek nieba, a barć śpi. Ostrożnie wyszedł starzec w sad, do pni się zbliżył...

I znowu ani jedna pszczoła za granicę pasieki nie leci, wszystko zostało w domu. Zbliżył się bartnik do pnia, przy wylocie jego kilka pszczół na pomostku chodzi... Chód ich leniwy, senne jakieś te pszczoły, jakby bez życia...

— Barć chora...

Wlecze się ospale robotnica, snuje się błędna po pomostku, wyszła na pniak, spoczęła, chce skrzydła otworzyć, wzlecieć... Nie wzleciała w górę, lezie znowu, piędzi nawet nie uszła i spadła trupem w trawy.

Patrzy córka przed ul...

— Tysiąc pszczół trupem leży.

— Mrą!!

— Zaraza w pasiece! Zaraza!

Starowina nie spał noc całą. Jako matka niespokojna nad dzieckiem w gorączce, tak on niespokojny o zdrowie swej barci. Wszakci to jego chleb, wszak to pańskość cała. Wszak to wiano jego córki. Przecie on, prosty leśnik, barci swej dziedzicznej nie dałby za szlachecką fortunę...

Przewraca się na wyrku, jęczy i płacze.

— Majątki i dostatki moje...

Uspokoił go sen. Jakieś zjawisko weselsze, snać odeszła już zmora, która go dręczyła. Śmieją się skrzepłe, pomarszczone usta, szepce bartnik przez sen...

— Miód do Koszyc zawiozę, dukatami ludziom oczy wybiję...

. . . .

Dwa dni straszliwego przesilenia minęły, w pasiece nic się nie zmieniło, jeno przed każdym ulem coraz większy posiew martwych pszczół leży. Włóczą się po ulach, po zieleni i marnie padają, czasem maleństwo zerwie się, wzleci w powietrze i jakby wyczerpane tym wysiłkiem, spada bez życia na ziemię. Na czwarty dzień...

Był upał straszny. Taka okropna praga schodzi na ziemię, aby poprzedzić burzę. Już zrana trudno na polu wytrzymać, żar leje się z niebios. Około południa wpadł syn bartnika i krzyknął:

— Barć wymarła!

Wypadł na pole. Boże! W duszy starego rozpacz i łzy, a przecie w morzu rozpaczy była do dziś dnia kropla nadziei. Iskra była, iskierka mała, widok barci zabrał, stłumił i tę iskrę. W upalnem powietrzu zaduch jakiś, wiatr od barci zapach kwasu niesie. Zbliżyli się do pni...

— To cmentarz.

Ani jednej pszczoły. Wszystko trupem padło. Przyszedł bartnik przed ul jeden i drugi...

Zawył płaczem...

— Nie płacz panie, ojcze. Pszczoły padły, ale miód nam się ostał.

I wosk. Nie martw się.

— Miód mówisz?! — Pyta się oszalały rozpaczą człowiek.

— Juści, że miód.

— My dziady. Miód mówisz? Patrz na pnie...

Patrzy młode stadło na pasiekę...

Każdy pień, to zaraza. Przez wylot piana ohydna ciecze. U niejednego ula wysadził ferment chochoł, przez wierzch cieknie zaraza. Patoka zarazą rozłożona kisi się i rozkłada. Octem ją czuć i drożdżami. Tysiąc pni zarazą gnije...

Starzec już niemy, zdusił nadzieję...

Oszalał. Szalony jakiś śmiech. Pobiegł bartnik do chałupy i wyniósł sznur. Pokazuje sznur córce, w oczach jej zrobił pętlicę, śmieje się i mówi rychotem śmiechu:

— Patrz, córo! Ten sznur — to jedyne dobro moje.

— Boga się bój, panie ojcze!

— Ten sznur — to pańskość moja i szlachecki majątek mój.

— Oddaj to!

— Patrz, zięciu! Weźże i ty postronek drugi. Ten postronek, to będzie wiano twoje.

— Odbierz z rąk szaleńca sznur.

— Na nim pojadę do Koszyc, zarzucę pętlę na gałąż, huśnę się raz i drugi, i jestem w Krakowie. Gdy śmierć życie zdusi, skrzydła mieć będę jako orzeł, co nad światem płynie...

— Nie płacz, panie ojcze.

— Niechże wypłaczę te oczy. Lepiej patrzeć będzie w podbicie trumny, niż na nędzę moją.

Zanosi się starzec od płaczu, szalony po pasiece chodzi. Mówi do uli, śmieje się do martwych pni, gwarzy z kwiatkami, które te ule żywiły. Nagle stanął wśród pazdur i zakwitłych szczerem złotem dziewann.

— Co to jest?

Pochylił się starzec i podniósł gliniany czaplak. Spojrzał w puste jego wnętrze, czerep gliniany ogląda, zawartość jego bada, oczy wytrzeszczył...

— Boże sprawiedliwy!!!

— Co w tym czaplaku, panie ojcze?

Nie odrzekł zięciowi bartnik nic. Usta szeroko otwarte, straszny domysł w sercu się rodzi.

— On!!!

* * *

Na wesele zjechało się pół niepołomskiej puszczy. W przededniu koło chaty rybackiej krząta się wszystko i roi, ledwie wieczór zapadł, muzyka zjechała, pod ościeże pani młodej przychodzi i starym obyczajem na „dobranoc" gra. Nibyto młoducha nie wie, o co chodzi, niby się wyjść wstyda, po kątach się kręci, w komorze się zamknęła. Starostowie i drużby ją wołają, parobcy i muzyka napiwku się domagają:

Świta, świta nad góreckom.
Wyjdzie młoduś z piwa beckom,
Świta, świta nad górami
Wyjdzie do nas z kołacami.

Wyszła, wrzuciła złoty polski do basów, muzyka poszła dalej. Od swaka do starościny, od druchny do bratowichy i pana młodego. Szeroka puszcza huczy tą wesołą gromadą. Noc zapadła, stado łosi i sarn strzyże uszami, bo w późną noc przez niezmierny las echo gędźby leci.

Gdy słonko wyszło nad las, złożono na stole rumiany bochen chleba, państwo młodzi podali sobie ręce, na bochnie je złożyli, świekrocha wiąże je razem chustką i uroczystemi słowy młode stadło do zbożnego żywota napomina.

Rozpłakała się pani młoda, wozy kowane przed chatą brzękają, do kościoła czas jechać; trzeba rzucić panieńską rutę, iść w dom męża na dolę i niedolę. Wypadł stary świekier, wziął za rękę niewiastkę, z chaty ją na pole wiedzie. Po krasnych licach perły łez płyną, przyjaciółki, jej druchny, żałośnie zawodzą:

Czesała włosy, czesała,
Kiedy do ślubu iść miała,
Czesała włosy oskośne
Roniła łezki żałosne.

A starościna czeka na starostę z różczką. Bukiet to ogromny, kunsztem przedziwnym z leszczyny zbudowany, w sploty pszenicznej słomy ustrojony. Bukiety kłosów z wierzchu jego kipią, przez trzon leci obręcz, złoconymi orzechami błyszcząca, przy każdym orzechu wstążka, barwna bujnym węzłem kraśnieje. Ujął starosta barwną różczkę, fala wstążek tęczą z wiatrem igra: furmani zacięli konie, z wichrem do kościoła niepołomskiego lecą.

* * *

Nikt starego rybaka tak wesołym, tak szczęśliwym nie widział. Od śmierci syna nie oschły jego łzy. Zawsze płakał, te bruzdy jego pomarszczonej twarzy, to koryta, które potoki łez wyżłobiły. Od kilku dni zmiana w nim niezmierna. Jakby to wesele córki radością w serce wstąpiło, rozprószyło smutki, wypchnęło rozpacz, zatamowało łzy.

Na wozie wraz z muzykantami jedzie, gędźbie grać każe, na parobka woła, aby wszystkie fury mijał. Spienione konie przez leśne drogi wichrem lecą. Pierwszy zeskoczył z wozu, we drzwiach chaty rybackiej stanął, orszak weselny wita, do chaty bieży, starościnę za rękę chwyta i śpiewa:

Wynijdźcie, świecho, ze dwora,
Przywitaj córkę z kościoła,
Przywitajże ją, przywitaj,
O wianek się jej zapytaj.

Zapytała się panny młodej stara świeść o wianuszek panieński.

A moja córuś, kężeś go podziała?
Kiedy ja cię z wianeckiem posłała.

Chował starzec w kowanej skrzyni gdańską wódkę, którą przywieźli flisacy, nalał w szklanicę, wychylił kielich, czarę w kolej puszcza; pękły beczki piwa, zagrały skrzypce, dudnią basy, grzmi ta chata radością i weselem, trunek szumi w głowach, szaleją w tańcu ludzie, szaleje starzec, który zapomniał o sędziwych latach, w tańcu młodzieży przoduje. Stanął przed basistą, rozwiązał chustkę, z węzła jej srebrny talar wyjął, wrzucił go w basy, podparł się pod boki:

Zawiślanko łysa, żur ci nie ukisał,
Wystaw go na murek, ukisa ci żurek.
Gadali mi wszyscy, kompanija cała,
Żeniłbym się z kozą, by talary miała.

Północ minęła, czas zacząć oczepiny. Baby pannę młodą kołem otaczają, zdejmują z głowy panieński toczek, wstążek pełen, rozmarynowy wieniec zdejmują, czepiec jej pokazują, stan zamężny zachwalają. Polecają jej, aby starym obyczajem panieński warkocz ucięła i czepiec przywdziała.

A moja Marysiu, wianeczka nie żałuj,
Ciś wianek pod ławę, Jasieńka pocałuj,
Podziękuj wiankowi, osłoń się pokrywką,
Żebyś sto lat żyła, już nie będziesz dziewką.

* * *

A przez czarną puszczę do chaty weselnej troje obcych ludzi idzie. Wyszli rankiem, cały dzień idą, noc ich w puszczy zastała. Co chwila tracą ślad leśnej drożyny, przez ostręgi się przedzierają, podszycia leszczyn drogę im tamują. Długo się błąkali, wtem zasłyszał bartnik dalekie echo gędźby, to muzyka teraz przewodnikiem i drogowskazem, ona ich wprost do chaty rybackiej prowadzi. Przyszli nad Wisłę, w gąszczu olch się skryli, wytęża oczy starzec w ciemność okropną...

— Nie zobaczą nas...

— Nie dostrzegą.

— Pijani.

— Do pracy!!

Jakby na dany znak, rozbiegli się, każdy z innej strony, do zagrody zdąża, przeszywa się przez graby, gdy lasu nie stało,

gąszczem łopuchów się plezie. Zięć bartnika podszedł pod brodło ze sianem, córka jego przy śpichlerzu, on do chaty się przysunął, dech wstrzymuje. Gdy się przekonał, że nikogo niemasz, dobył z kieszeni krzemień i hubę. Uderzył stalą w kamień, ten iskrami sypnął, spadło zarzewie na hubę, wydął bartnik usta i dmucha, zatliła się tkanka, pęk suchej słomy z zanadrza wydobył, zapłonął ogień, do strzechy go niesie...

. . . .

* * *

— Pociotek pije.

— Za dużo starzec wypił.

— Nie pijcie, ojcze, tyle na wasze stare lata.

— Co? abo mi to nie wolno?! Abo to nie wesele mego dziecka?! Abo mię to nie stać?!

— Nie stać cię, nie stać, zięć chałupę zabierze.

— Dziś jeszcze moja. Ostatni dzień moja. Biedna zagroda.

— Prawda, że biedna.

Zamyślił się rybak.

— Urągł, że syn mój, to dziad. Tak jest, my dziady. On pan wielki. Ha, ha, ha! Pan! On ma pasiekę! Ha, ha. Wolę ja dziś podsiębitkę, jeden węgieł chaty, niż bogactwa jego. Hej! Nalejno, bracie, gorzałki!

— Dość tego.

— Ja powiedziałem nalej! — krzyknął starzec. — On był panem, a dziś ja w obliczu jego jestem panem. Ten nędzarz przyjdzie tu na mój próg chleba prosić...

Chwycił flaszkę gorzałki, do muzyki leci:

— Masz grać, to graj, wywłoko jeden z drugim!!

Porwali się przerażeni cyganie, instrumenty chwytają, ozwały się skrzypce, zaczął melodję klarnet. Starzec chwycił się pod boki, zaśmiał się z całego gardła:

Pływały węgorze,
Pływały karasie,
Kiej mnie jeden ściska,
To drugiemu zasie.

Chwycił staruch krasawicę w pół, w taniec wiedzie, w tańcu dziewczyną jako kwiatkiem rzuca, stanął nagle. Zamarł głos sta-

rowinie, urwała pieśń muzyka, wszyscy oniemieli. Do izby wszedł siwy dziad i wprost do rybaka idzie.

— Ty!!!

— Ja jestem, bracie. Przyszedłem na wesele w sam czas. Panna ma warkocze całe, snać nie było oczepin, nie koniec wesela.

— Ty... Tyś przyszedł do mnie?!!

— Dar niosę pannie młodej. Ha! Ha! Myślałeś, żem ja ci krzyw, żem ja wichłacz i chachuła? A ja twój brat! Każdy, kto przyjdzie na wesele, musi zwyczajem ojców naszych złożyć pani młodej dar. Na co go stać i co ma. Starościna wrzuci za stanik złoty dukat, ty jej dasz dziś w wianie twój dostatni dom...

— Nie drwij z mego domu!

— Ja nie drwię. Twoja bogata chata...

— Lepsza od twej pasieki.

— O pasiece mówić do ciebie chciałem.

— Jam dziś dziad bez chleba. Chciałem na oczepiny przynieść twemu dziecku konew prząśnego miodu z naszej pasieki.

— A widzisz?! Zmarniało państwo twoje!!

— Zmarniało.

— Ty, morderco mego dziecka!!

— Nie mordowałem go.

— Wyrzuciłeś go za drzwi, wołając: idź precz, dziadu!

— Prawda.

— Przyznajesz więc?!! Mówiłeś do mego syna: idź precz, dziadu! Dziś ty dziad, a ja pan. Ja wywianuję moje dziecko. Dam mu dom, dam mu zagrodę...

— Niechże ona przyjmie i odemnie dar.

— Dar?! Od ciebie?! Cóż ty jej dasz? Pasieka twoja zmarniała...

— Mówiłem ci, że chciałem jej dać konew miodu. Miód zmarniał, ale pozostał wosk...

— Wosk?!!

— Ten ci przyniosłem. Jak widzę, to przy łuczywie tańczycie. Teraz wam jaśniej będzie. Niosę wosk. O! spójrz w okna! Świeci się! Co?!

— Jezus, Marjo!!

— Gore!! Gore!!!

Wszystko wypadło na pole. Zagroda rybacka była morzem płomieni.

IGNACY CZUMA.

Kwestja agrarna w Rosji.

Wstęp.

Mówiąc o kwestji agrarnej w Rosji — kwestji, która niesłychanie ważną dla jej dalszego ekonomiczno-społecznego rozwoju gra rolę — nie od rzeczy będzie zaznajomić się z ogólnemi warunkami geograficzno-gospodarczemi, które stanowią podstawę, na jakiej rozwija się życie tego ogromnego rozmiarami terytorjum byłego rosyjskiego cesarstwa. Cały szmat posiadłości można podzielić na trzy części: posiadłości europejskie i te, które organicznie z niemi są związane, tudzież Syberja i posiadłości centralnej Azji, z których największe terytorjalnie i pod względem znaczenia zajmuje miejsce Turkiestan. Powierzchnia tych wymienionych przestrzeni obejmuje około 22 miljonów km kwadratowych, t. j. $^1/_6$ część lądu całego świata, sama zaś Rosja europejska rozprzestrzenia się na terytorjum 5 miljonów 800 tysięcy km kwadr., co się znów równa $^1/_3$ całej Europy. Posiadłości syberyjskie oddziela od Europy długi grzbiet niezmiernie bogatych w minerały gór Uralu, ciągnącego się na przestrzeni 2 tysięcy kilometrów.

Europejską Rosję można podzielić na dwie strefy: północną i południową. Północna obejmuje połać arktyczną (tundry), niżej od niej idącą linję ogromnych przestrzeni lasów, które, wychodząc od Finlandji, idą poprzez archangielską i wołogodzką gubernję do Uralu, przechodzą go i dalej Syberją biegną aż do wód Cichego Oceanu. Nieco dalej na południe mamy północną okolicę stepów, za czem idzie strefa południowa, ze stepami, czarnoziemem, południowemi lasami (Krym) i okolicami palm — magnolij i rododendronów.

Rosja europejska posiada cztery główne arterje wodne — jedne z największych w Europie — Wołga, Dniepr, Don i Dźwina północna. Źródła tych rzek wychodzą z centrum Rosji i rozchodzą się w kilka stron. Niestety, mają te rzeki niedostatki: Wołga wpada do zamkniętego morza Kaspijskiego, Dniepr od Jekaterynosławia do Aleksandrowska w swoim dolnym biegu na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów jest niespławny z powodu tak zwanych „porohów“. Dźwina płynie na północ do Białego morza, Don równiną stepów sączy swoje ciche wody do morza Azowskiego.

Z tych paru zdań widać, jak olbrzymią całość gospodarczą stanowi Rosja i jakie nieprzebrane bogactwa naturalne kryje w łonie swej szerokiej, rozległej przestrzeni. Obserwując gospodarcze życie, jego warunki rozwoju, dojdziemy do przekonania, że Rosja — to wielki kraj, zamykający w sobie wszystko, co jest niezbędnem dla dobrego, wszechstronnego zagospodarowania się.

Zacznijmy od produktów zbożowych. W południowej strefie europejskiej Rosji znajdujemy jedną z najbardziej w całym świecie

urodzajnych gleb, mianowicie t. zw. czarnoziem lub glebę próchnicową. Czarnoziemny pas rozciąga się tu na powierzchni, równej dwom powierzchniom przedwojennych Niemiec; granicami tej połaci żyznej ziemi: Czarne morze, Rumunja, środkowy bieg Dniepru, środkowa Wołga, aż do granic centralnej Syberji — na południe Don.

Ważnym gospodarczym przedmiotem to węgiel. Bogate pokłady kamiennego węgla tworzy t. zw. Danieckie zagłębie — obejmuje część dońskiej dzielnicy, część charkowskiej i jekaterynosławskiej gubernij. Węzłami dobywania są miejscowości: Ługańsk, Bachmut, Józowo i inne, pozatem na Ukrainie bogato w różnych miejscach rozrzucony węgiel brunatny, na nieznacznej głębokości pod powierzchnią ziemi.

Permska formacja węglowa odnosi się do rejonu nad Uralem w gubernji permskiej, która zahacza i część już Syberji.

Z kolei produkty naftowe. Słynne na cały świat kopalnie w Baku, w Aserbejdżanie i biegnący wzdłuż grzbietu Kaukazu pas ropy i nafty z ważnem centrum w dzielnicy Terskiej, Groźnym — niedaleko od Władykaukazu. Wogóle okolica nad jeziorem Kaspijskiem — to teren poszukiwań naftowych.

Do tego dodamy bogate pokłady rudy wszelkiego rodzaju w Jekaterynosławskim rejonie, najrozmaitszej treści mineralnej kopalnie Uralu włącznie ze złotem i platyną. Zbożową kolonją przedstawia się Syberja, kryjąca na swoich obszarach i inne niezmierne bogactwa, natomiast centralna Azja miała za przeznaczenie zasilanie włóknistego centralnego przemysłu moskiewskiego, włodzimierskiego — bawełną.

Formacje kredowe rozciągają się z centralnego rejonu wzdłuż Wołgi, w środkowym jej biegu.

Jednym z krajów, najwięcej produkujących lnu, jest Rosja. Uprawia się go na południu Rosji, w dorzeczu Dźwiny zachodniej i górnego Dniepru, tudzież w gubernjach: kostromskiej, jarosławskiej, niżno-nowogrodzkiej, wjackiej i wołogodzkiej. Przemysł cukrowy — prawie cała jego wytwórczość — kwitnie na Ukrainie. Wina dostarcza: Krym, Kaukaz i Bessarabja.

Zaludnienie stosunkowo rzadkie na wschodzie i rozległej północy, gęstsze w centralnej części i zachodniej. Rosja Piotra Wielkiego, a więc przełom 17-go i 18-go wieku, wynosiła 12 miljonów mieszkańców, teraz ma na tej samej przestrzeni 90 miljonów.

Przypatrzmy się ludności Rosji z 1910 r.:

Właściwa Rosja	118,690.600
Polska	12,129.200
Finlandja	3,030.400
Kaukaz	11,735.100
Centralna Azja	9,973.400
Syberja	8,220.100
Razem . . .	163,778.800

Według obliczeń za czas od reform rolnych z roku 1861, a więc za około 50 lat, ludność Rosji europejskiej prawie się podwoiła, co się tłumaczy nadzwyczajnym przyrostem ludności. Według statystycznych spisów z 1897 r. chłopstwo przedstawiało 77% całej ludności. Do obecnych czasów najwyżej o parę procent na niekorzyść włościaństwa się zmieniła. Nadzwyczajna pstrokacizna etnograficzna na całych tych rozległych obszarach, obejmująca wiele religij, obrządków, narodów, ras, stopnia kultury, od najniższego do najwyższego — oto mieszkańcy kolosalnego cesarstwa Wszechrosji.

Reforma z roku 1861 (Uwłaszczenie chłopów).

W czasie, kiedy na Zachodzie instytucja poddaństwa przeżyła się i ekonomicznie i politycznie, kiedy Europa weszła na tory szybkiego rozwoju kapitalizmu — Rosja konserwowała przymusową pracę i osobistą zależność chłopa. Pewne prądy okazywały tendencję do zniwelowania panujących stosunków, do zmienienia gospodarczo-politycznej fizjognomji Rosji. Przedewszystkiem przemawiał za tem wzgląd polityczny. Liczne bunty chłopskie, wypadki podpalania folwarków i niszczenie majątków, tudzież klęska wojny krymskiej za Mikołaja I nakazywały liczyć się z fermentem, jaki przyjmował coraz większe rozmiary w państwie. Względy ekonomiczne, rozwój przemysłu, domagały się usunięcia przymusowej pracy, wyzwolenia rzesz wiejskiego proletarjatu i tegoż oddanie w ręce fabrykantów, w charakterze najemników kapitału.

Natomiast klasą, która uparcie sprzeciwiała się zniesieniu pańszczyzny, wyzwoleniu chłopa z osobistej niewoli i nadaniu mu na własność gruntu, była warstwa wielkich agrarjuszów-szlachty.

Instytucja pańszczyzny, zanikająca już w Europie w końcu 18-go wieku, w Rosji dopiero układała się w ostateczne kształty, przybierała coraz bardziej dla chłopa ciężką i przykrą formę. Były to czasy Katarzyny II. Pierwsza połowa zaś 19-go wieku przyniosła w Rosji uprawę zboża na zbyt, agrarjusze coraz częściej zamieniali chłopu „obrok“, t. j. czynsz, na „barszczynę“, to znaczy robociznę, potrzebując robotnika, zawsze mu do usług stojącego. I tem się tłumaczy, że w rejonach zbożowych Rosji (południe) pańszczyzna stawała się coraz bardziej uciążliwą, gdy tymczasem rejon przemysłowy — fabryczny (centralny) pod tym względem przedstawiał dla chłopa wygodniejszy, lżejszy byt. W miarę zaś, jaka klika, jakie wpływy kierowały polityką rządu, układały się też i zamiary i przedsięwzięcia prac reform agrarnych.

Ostatecznie Aleksander II stanął na nieprzejednanem stanowisku zmiany położenia, stawającego się coraz bardziej ciężkiem, co i wyraził przed zebraną szlachtą: „Lepiej, gdy uwłaszczenie przyjdzie z góry, niż z dołu“.

Rezultatem był ukaz carski z 19 lutego 1861 — przynoszący osobistą wolność chłopu — uwłaszczenie tego ostatniego.

Reforma ta — oprócz wyzwolenia włościan z więzów poddaństwa — miała na celu nadzielenie ich ziemią. Rozróżniono trzy kategorje branych pod uwagę chłopów, mianowicie: włościan dóbr państwowych, koronnych i prywatnych. Nie brano w rachubę kozaków i kolonistów. Faktycznie każda z tych kategoryj inaczej została ziemią wyposażona. Co się tyczy państwowych, to ich położenie było najlepszem, norma nadziału wahała się około 6 do 7 dziesięcin (dziesięcina = 1·08 ha = 108 arów) na „duszę rewizyjną" (spisy rewizyjne obejmowały męskich członków rodzin). Gorzej od nich sytuowani chłopi dóbr koronnych 4—9 dziesięcin, natomiast najsłabiej obdzielono chłopów dóbr prywatnych, których nadział dosięgał tylko 2—3 dziesięcin.

Ci wszyscy otrzymali swoje nadziały za wykupem, który miał przedstawiać czynsz (obrok), płacony perjodycznie. Oprócz tych 3 kategoryj, istnieli t. zw. „darmowi" chłopi, t. j. ci, którzy zrezygnowawszy z pełnego nadziału za uiszczeniem czynszu, zadowolili się $^1/_4$ częścią przeciętnej normy — byli to chłopi pańscy i stanowili 6% wszystkich tej ostatniej kategorji. Ponadto czeladź dworska (dworowyje), której przed uwłaszczeniem liczono około 720 tysięcy dusz męskiej płci, i wielu chłopów, którzy przed reformą przeszli do stanu mieszczan, nie otrzymało żadnego nadziału.

Przy uwłaszczeniu obowiązywały następujące normy: Zagrodę otrzymywał włościanin darmo, a za grunt — nadział, płacił obliczany czynsz nierówno. Mianowicie za pierwszą dziesięcinę 5 rubli, za drugą 2 i pół, za trzecią $^5/_8$ rub. i za następne także po $^5/_8$ rubla. Nadział więc z 5 dziesięcin przedstawiał kwotę $9^3/_8$ rubla t. zw. „obroku", t. j. czynszu. Przy ewentualnem rozwiązaniu „obroku" chłop ma zapłacić $16^2/_3$-krotną sumę rocznego czynszu.

Co się tyczy włościan dóbr prywatnych, to ci w zachodnio-ukraińskich, białoruskich i litewskich gubernjach otrzymali nieco więcej przy uwłaszczaniu, niż przedtem użytkowali, natomiast w południowych i centralnych gubernjach, przy właścicielach wielkiej własności zostały t. zw. „odcinki", t. j. parcele przed reformą będące w chłopskiem użytkowaniu — teraz po reformie „odcięte" i przydzielone folwarkom.

Łatwo oczywiście zrozumieć politykę agrarną rządu rosyjskiego z owej doby: szło o zredukowanie wpływu żywiołu polskiego, który w tych prowincjach rozporządzał w większości własnością wielką.

Ruch własności.

46 europejskich gubernij (oprócz Liwlandji, Astrachania, Donu i Penzy) przedstawiało następujący wygląd nadziałów:

	Liczba gmin	Męska ludność	Dziesięciny
Chłopi pańscy	91.475	10,050.200	33,755.759
„ państwowi . . .	36.723	9,643.606	57,130.141
„ koronni	5.527	900.486	4,333.261
„ inni	5.900	1,801.777	21,635.694
Razem . .	139.625	22,396.069	116,854.855

Oprócz tego od czasu reformy 1861 do 1905 roku włościanie nabyli drogą kupna prawie 25 miljonów dziesięcin.

W 1861 r. pozostało przy państwie	151,5	mil. dzies.
„ koronie	7,5	„ „
„ szlachcie i innych .	100	„ „
Razem . .	259	mil. dzies.

Z własności państwowej tylko około 3% uprawne — reszta lasy i nieużytki.

W 1917 roku, według T. Baranowskiego, własność chłopska dosięgła 166 miljonów dziesięcin.

Ludność włościańska od czasu reformy aż do najnowszych mniejwięcej podwoiła się i stosunkowo zmniejszył się procent nadziałów.

Przeciętna wielkość nadziału (dziesięcina na duszę rewizyjną) wynosiła:

	1860 r.	1880 r.	1900 r.
Okolice północne	7,6	6,1	4,7
„ północno-wschodnie	8,1	6,1	4,6
„ wschodnie	9,5	6,5	4,8
„ południowo-wschodnie	8,4	5,2	3,5
„ środkowej Wołgi	4,0	3,1	2,3
„ centralno-rolnicze	3,6	2,5	2,0
„ centralno-przemysłowe	4,0	3,3	2,6
„ północno-zachodnie	5,0	3,3	2,2
„ południowo-zachodnie	2,9	2,1	1,4
„ małoruskie	3,3	2,5	1,7
„ noworosyjskie	6,2	4,0	2,5
„ nadbałtyckie	3,2	2,9	2,4

Jak widać przejrzyście z tej tablicy, wysokość nadziału stale się zmniejsza, chłopi przeto ratując stan, dokupują grunta i wiele dzierżawią, o czem będzie mowa później. Niżej zaś podany przegląd statystyczny pozwoli nam uzmysłowić sobie wysokość nadziału przypadającego na zagrodę włościańską w r. 1905. we wszystkich gubernjach europejskiej Rosji.

	Dziesięcin		Dziesięcin
Ołoniec	65,1	Wilno	13,5
Orenburg	29,8	Nowogród	13,5
Astrachań	28,4	Witebsk	11,5
Samara	19,8	Petersburg	9,7
Ufa	18,8	Woroneż	9,6
Grodno	16,5	Saratow	9,5
Wjatka	16.0	Jekaterynosław	9,3
Perm	15,8	Psków	9,2
Wołogda	15,5	Mińsk	9,1
Taurja	14,7	Smoleńsk	9,0
Kowno	14,6	Włodzimierz	8,9

	Dziesięcin
Kostroma	8,9
Twer	8,6
Kazań	8,6
Mohilew	8,2
Kaługa	8,1
Wołyń	7,8
Cherson	7,8
Moskwa	7,5
Penza	7,5
N. Nowogród	7,4
Charków	7,3
Kursk	7,3
Jarosław	7,1
Orzeł	7,0
Tambów	7,0
Symbirsk	6,8
Rjazań	6,6
Bessarabja	6,5
Czernichów	6,3
Tuła	6,3
Archangielsk	6,1
Kijów	5,5
Połtawa	4,9
Don	4,4
Podole	3,8

W prowincjach litewskiej i białoruskiej, od Witebska na zachód, jeszcze w 1863 roku obowiązywał przymusowy wykup czynszów (obroku) — całkowite rozwiązanie wzajemnych zobowiązań między uwłaszczającym a uwłaszczonym — natomiast w reszcie państwa ukaz z 1881 roku czynił ten wykup obligatoryjnym dopiero z nastaniem 1 stycznia 1883 r.

Banki ziemskie.

W związku z tem należy parę słów poświęcić dwom bankom państwowym ziemskim. Mianowicie Bank szlachecki i Bank włościański, będące instytucjami kredytowemi państwowemi, miały na celu właśnie kwestje kredytowania i wspierania własności ziemskiej drobnej i wielkiej.

Bank szlachecki, założony w 1883 r., miał pomagać szlacheckiej wielkiej własności drogą udzielania pożyczek na warunkach dogodnych.

Bank włościański zaś od samego początku swojego istnienia, t. j. 1883 r., rozpoczął żywą i skuteczną działalność w kierunku pomocy własności drobnej. Otrzymuje on przywilej skupowania ziemi i majątków, i parcelowania tychże między chłopów na własność indywidualną, gminną lub stowarzyszeniową. Dostarczał on kredytu długoterminowego ($24\frac{1}{2}$—$34\frac{1}{2}$ lat) do wysokości 60% do 90% wartości szacunkowej nabywanego gruntu. Raty obejmujące początkowo $8\frac{1}{2}\%$—$9\frac{1}{2}\%$ (procent i amortyzacja kapitału), następnie zniżone do $6\frac{1}{2}$—$7\frac{1}{2}\%$ — później ulegają jeszcze większej modyfikacji na korzyść dłużników.

Na mocy ukazu z 1906 r., przekazano Bankowi włościańskiemu do dyspozycji pewne koronne ziemie w celu rozparcelowania.

$^4/_5$ wszystkich klientów Banku, to włościanie o mniej jak 6 dziesięcinach. Z pomocą tejże instytucji nabyli chłopi więcej, jak 20 miljonów dziesięcin ziemi na własność.

Przesiedlanie.

Ważną rolę w stosunkach agrarnych Rosji odgrywa przesiedlenie. Początkowo, przed reformą, samowolne uciekanie chłopów, przed uciskiem i pańskim i państwowym, doprowadziło do całkowitego skolonizowania południa Rosji. Po reformie z 1861 r. ruch ten wcale się nie zmniejsza, tylko zmienia kierunek. Dotąd za teren przesiedlania się służyło południe z Kaukazem, zaś od 1880 r. przedmiotem samowolnej kolonizacji staje się Syberja... Rząd widzi się zmuszonym normować ten ruch kolonizacyjny i rzeczywiście szereg ustaw i ukazów z 1881, 1893, 1904 i 1906 r. otwiera coraz więcej możność przesiedlania się, wyznacza pomoc w podróży, na miejscu i t. d. W ten sposób pewne sfery sądziły, że uda się skutki nadzwyczajnego wzrostu ludności włościańskiej osłabić, przez kolonizację Syberji, Turkiestanu, i wogóle mniej lub więcej pustych przestrzeni. Największy odpływ za Ural zaznaczył się w roku 1908, objął mianowicie 600 przeszło tysięcy ludzi, później znacznie upadł.

Dzierżawa.

Stosunkowo małe nadziały, niski poziom gospodarowania, tudzież czasami karykaturalne położenie gruntów chłopskich w stosunku do pańskich, brak zarobków ubocznych — zmuszają masę włościańską do dzierżawienia ziemi, której to powierzchnia wynosi mniejwięcej 20% całej nadziałowej. Przy uwłaszczeniu w 1861 r. „odcięto“ znaczny procent dawniej użytkowanych przez chłopów gruntów i wcielono do folwarków. Szczególnie objektem tych „odcinków“ były pastwiska i łąki, co naturalnie zmuszało później włościan do arendowania tychże. Chłop nie mogąc wyżywić swojej rodziny z nadziału, przytem, jak wspomniałem, nie znajdując zarobków ubocznych, bo przemysł rosyjski dopiero się rozwijał, nieumiejętnie gospodarujący, uzupełniał warsztat pracy przez dzierżawienie parcel dworskich i innych nie chłopskiej własności. Z tego powodu dzierżawa, która ma za cel nie rozszerzenie przedsiębiorstwa, a prosto tylko znalezienie miejsca pracy i li tylko wyżywienie mająca na widoku, przedstawiała typ dzierżawy spożywczej, tak szeroko jedynie w Rosji i Irlandji znajdującej swoje zastosowanie. Na ogół wziąwszy stosunki w tym kierunku układały się niepomyślnie dla dzierżawiących włościan, zmuszonych płacić tenutę dzierżawną większą, niż gdy się bierze pod uwagę dzierżawę kapitalistyczno-przedsiębiorczą.

Poniżej zobaczymy wzrost cen czynszów dzierżawy spożywczej, według danych statystyki w gubernji połtawskiej w latach od 1890—1900.

Lata	Przy spożywczej dzierżawie w rublach za dziesięcinę	Przy kapital. dzierżawie	Różnica	
			w rublach	w %
1890	8,61	6,56	2,05	31
1895	7,93	5,96	1,97	33
1900	12,60	8,68	3,92	45

Wydajność.

Według danych spisów statystyki rolnej z 1916 roku, około 90% wszystkich zasiewów w Rosji europejskiej należało do włościan. Do tego, rozumie się, trzeba dodać, że zasiewy nie obejmują jedynie gruntów własnych, ale dotyczą i dzierżawionych pól. Co się tyczy sposobów gospodarowania, to wielka własność pod względem techniki rolnej i wydajności stoi znacznie wyżej od własności drobnej. Tłumaczy się to brakiem narzędzi i maszyn u chłopów, niską oświatą i, powiedziałbym jeszcze, jest to w znacznej części wynikiem kollektywnego charakteru własności ziemskiej, o czem niżej będę pisał.

Według danych statystycznych, jeżeli zbiór zboża wielkiej produkcji równa się 100, to odpowiednie ilości będą miały miejsce w chłopskiej gospodarce

dla ozimej pszenicy	87%
„ jarej pszenicy	85%
„ żyta	83%
„ jęczmienia	88%
„ owsa	82%

By zaś mieć przybliżone pojęcie wydajności produkcji rolnej rosyjskiej w stosunku do innych, pomieszczam niżej tablicę, ilustrującą nam ów stosunek.

Zbiór zboża z hektaru najważniejszych światowych producentów w metrycznych cetnarach przeciętnie, za dziesięciolecie od 1901—1910 r.

Kraje	Pszenica	Żyto	Jęczmień	Owies
Holandja	22,4	16,7	26,0	22,0
Niemcy	19,6	16,3	19,0	18,3
Francja	13,6	10,6	12,9	12,0
Austrja	12,8	12,4	13,5	10,9
Węgry	11,9	11,1	12,2	10,7
Rumunja	11,8	8,8	9,6	8,5
Stany Zjednoczone . .	9,6	9,9	13,8	10,6
Włochy	9,1	10,9	8,9	10,3
Rosja europejska . . .	7,8	7,2	7,9	7,3
Indje wschodnie . . .	7,6	—	—	—
Argentyna	7,1	—	—	—

Jak z tego widać, Rosja stoi prawie na szarym końcu ogólnej wszechświatowej wydajności w produkcji rolniczej. Łatwo zrozumieć, dlaczego się to dzieje. Niska kultura, technika i prawie wyłącznie ekstenzywny sposób gospodarowania.

Rosja, kraj wybitnie rolniczy, odznacza się małą produktywnością, i to nietylko w rolnictwie, ale i w każdej innej gałęzi pracy. Przyczyniły się do tego w znacznej mierze warunki socjalno-polityczne.

„Obszczyna“.

Prawdziwe „specimen“ w stosunkach agrarnych Rosji przedstawia instytut ekonomiczny, t. zw. „obszczyna“ lub „mir“. I jego pochodzenie i znaczenie gospodarcze i społeczne różni ekonomiści rozmaicie traktują. O ile idzie o wytłumaczenie genezy tego rodzaju stosunków własności rolnej i gospodarowania, musimy się zwrócić do odleglejszych w przeszłości form ustroju agrarnego, z których, lub w związku z niemi mogła rozwinąć się rosyjska „obszczyna“. Bez względu na to, jak wyglądał system własności ziemi w dawnych czasach — spotykamy historycznie znaną dość dokładnie instytucję wspólnot rodowych. Były to gospodarstwa, obejmujące członków pewnego rodu, czasami parę pokoleń, które pod kierunkiem najstarszego z rodu fungowały, jako samodzielne jednostki gospodarcze. Ziemia była uprawianą wspólnie, plony były wspólnem dobrem całego rodu. Prawie po dziś dzień istniejące południowo-słowiańskie „zadrugi“ przedstawiają typ tego rodzaju na związku krwi opartej wspólności gospodarczej. Wyższą już kategorją ewolucji indywidualnych interesów, według rosyjskich ekonomistów (Jefimenko), ma być t. zw. „obszczyna dolewaja“. Jest to własność ziemska związku (gminy), której członkowie są właścicielami części pewnych udziałów — ale tylko „partis pro indiviso“. Pewna, czy rodzina, czy indywidualny gospodarz, rozporządza określoną idealną cząstką ziemi, a tylko od czasu do czasu następują między członkami danej gminy przedziały, które mają na celu zrównanie j a k o ś c i o w e, a nie ilościowe. Typem takiej obszczyny uważa Jefimienko obszczynę w niektórych północnych gubernjach Rosji.

Na tym stopniu rozwoju stosunków obszczynnych zjawia się przed członkami danego związku do wyboru alternatywa. Albo bowiem rozporządzający idealną częścią ziemi członkowie gminy zażądają utrwalenia ich praw, utwierdzenia za nimi na zawsze określonych indywidualnie parcel, a wtedy będziemy mieli do czynienia z przejściem gminy i jej członków do stosunków, opartych wyłącznie na zasadzie prawa prywatnej własności, lub też j a k o ś c i o w e przedziały, wskutek wewnętrznego zmagania się na gruncie związku, zamieniają się na i l o ś c i o w e i wtedy mamy do czynienia z tą formą gospodarczo-społeczną, jaka przeważająco panuje w rosyjskich stosunkach agrarnych, a mianowicie obszczyna, oparta na zasadzie wyrównywujących przedziałów.

Jak się przedstawia „mir“ technicznie?

— Gmina, to jest związek jej członków, jest właścicielem ziemi obszczynnej, która dzieli się na pewne kategorje. Zagrody należą, jako własność indywidualna, do pojedynczych włościan, grunta orne i łąki na mocy dokonywanych perjodycznie wyrównywująco przedziałów, są w indywidualnem użytkowaniu „obszczynników“. Natomiast wspólnie użytkowane pozostają lasy i pastwiska.

Zwyczajnie grunta orne dzieli się co 12—15 lat, natomiast łąki rokrocznie przed sianożęciem.

Sposób w jaki przyszła gmina (obszczyna) do tej formy gospodarczej i jakie przechodziła koleje, nim otrzymała dzisiejszą konstrukcję, opisuje A. Kaufmann w swoich dziełach o obszczynie syberyjskiej.

Dzieli on ewolucjonizowanie stosunków obszczynnych na 3 części:

1) Przestrzeni wolnej do zajmowania gruntów dostatecznie. Każdy zabiera tyle, ile mu się podoba. Zewnętrznie zajętą przestrzeń oznacza tylko słupkami granicznemi, znakami robionemi na korze drzew. Ziemia, w ten sposób uzyskana, należy do okupanta. Jest to t. zw. forma użytkowania ziemi na mocy zaboru (zachwatnoje ziemlepolzowanije).

2) Wyższą formą jest użytkowanie na mocy zaboru, ale już z pewną reglamentacją ze strony gminy. I w tym perjodzie ziemi dosyć. Jednakowoż gmina, która jest teoretycznym właścicielem o pewnej powierzchni terytorjum, wymaga, by przy zaborze gruntów przez pewne jednostki, zabór ten opierał się na momencie pracy, a więc nacięcie drzew nic nie znaczy i nie ma waloru wbicie palików w ziemię. Trzeba, by zajmujący wykarczował daną parcelę, zaorał, jednem słowem, przyłożył pracy do zajętego kawałka. W razie śmierci gospodarującego, lub nieuprawiania ziemi, gmina może odjąć (ale nie musi) i dać komuś innemu. To jest t. zw. „obszczynno-zachwatnoje ziemlepolzowanije.

3) Nierówność posiadanych gruntów u obszczynników, a przytem polityka fiskalna rządu, który od dawnych czasów aż do najnowszych lat przy podatkach zastosowywał na gruncie gminy solidarną odpowiedzialność członków obszczyny i podatki od duszy (podusznaja podat’), sprowadziła formę trzecią, która jest wspólną dla ogromnej większości obszczyn rosyjskich. Forma ta, to t. zw. użytkowanie wyrównywująco-przedziałowe (urawnitielno-peredielnoje ziemlepolzowanije).

Reforma z 1861 r. wykazała następujące ukształtowanie się procentowe gruntów obszczynnych do gruntów indywidualnej własności chłopskiej:

81% własność obszczynna i 19% indywidualnej własności włościańskiej. Stosunek ten w ciągu następnych dziesięcioleci ewolucjonizował na niekorzyść własności obszczynnej; w 1906 r. przedstawiała ona 75%, reforma dopiero z 1906 r. podcięła poważnie jej egzystencję, tak, że lata 1915—1916 przedstawiały już procentową przewagę własności prywatnej chłopskiej nad obszczynną.

W jaki sposób dokonywał się przedział gruntów obszczynnych? W różnych miejscach, różne pod tym względem obowiązują normy. I tak, jako punkt wyjścia brano: 1) roboczą siłę, t. j. zwyczajnie mężczyzn wieku od lat 18—55, lub 60; 2) normę spożywczą („po jedokam“), t. j. uwzględnia się ilość osób bez różnicy płci i wieku; 3) normę rodzin („tiagła“); 4) t. zw. „dusze

rewizyjne“, t. zn. mężczyzn, którzy byli zaciągnięci w spisy rewizyjne, fiskalnego charakteru, odbywające się co 10 lat.

C. d. n.

P. SKIBA.

Z ostatnich dni.

(*Zmierzch etatyzmu. — Walka endecji z Belwederem. — Senat. — O fachowość naczelnego wodza. — Z praktyk naszego „radykalizmu“. — Klub poselski w sądzie.*)

Zaczynamy wreszcie powoli przystosowywać się do stosunków normalnych i wprowadzać — nieśmiało — pewne rekonstrukcje, opierające się na realnych warunkach; nienormalnym bowiem i nierealnym był prąd wojennego etatyzmu państwowego, państwowej centralizacji, oraz dążność do wzięcia w ręce państwa steru produkcji i konsumcji, a więc stworzenia czegoś sztucznego, po doktrynersku pomyślanego, co miało być nietylko lekarstwem na wojenne braki, ale przygotowaniem do „upaństwowienia“ całego naszego życia. Rząd prezydenta Witosa znosi „Pun'a“ (Państwowy urząd naftowy), „Puzapp“ (Państwowy urząd zakupu artykułów pierwszej potrzeby); nad innemi wisi miecz zagłady, a naród cały prawie oczekuje jego ciosu nietylko bez żalu, ale z dziwną otuchą i westchnieniem ulgi. Piękna teorja, w czyn wprowadzona, dała tylko dowód, że teorją zostanie, że życie i jego prawa są silniejsze i że mszczą się one straszliwie, gdy się je chce złamać. P. S. L. nigdy nie było zwolennikiem oddawania państwu funkcyj regulatora produkcji i konsumcji; opierając się na żywych masach ludowych wiedziało, iż niekrępowana ludzka wola, niekrępowany duch ludzki, praca i pilność, wszystkie najlepsze siły, nie mogą stać się pastwą biurokratycznego poglądu. P. S. L. nie wierzy w celowość i możność zapanowania państwa nad całym splotem naszych spraw gospodarczych. Jeżeli tu i ówdzie ustępowało, to zawsze z protestem, wychodząc z zasady wolności gospodarczej. Fakta potwierdzają słuszność tego stanowiska; rodząca się produkcja upada wprost pod ciężarem zniesienia zasady wolności pracy w przemyśle i handlu; produkcja rolnicza upada z roku na rok nietylko „z powodu braku sprzężaju i nawozów sztucznych“ — jak się to oficjalnie mówi — ale z powodu całego szeregu krępujących i hamujących jego rozwój przepisów. Jesteśmy krajem rolniczym bez wystarczającej rolniczej produkcji, krajem biednym, ale za to jedynym chyba w świecie, który karę stosuje do piekarza, który — chcąc sobie zarobić — pracuje dłużej ponad normę, jaką mu państwo pozwoliło...

Na szczęście wyłom w systemie nas gniotącym już zrobiono. Obywatel słaby musi być chroniony, ale nie w sposób, kopiący grób nietylko mocnemu. Jakże śmiesznie wyglądają grzmiące we-

zwania naszych wiecznie agitujących „radykałów“ do inwestycyj przemysłowych, z zapowiedzią natychmiastowej walki przeciwko inwestytuującemu kapitałowi — i to walki, idącej nie w kierunku sprawiedliwego uregulowania wzajemnego stosunku kapitału, pracy umysłowej i fizycznej.

Ponad sprawy gospodarcze wybiły się w Polsce kwestje czysto polityczne: walka narodowej demokracji z naczelnikiem państwa i walka o senat.

Walka narodowej demokracji z grupą ludzi, którzy się skupili około J. Piłsudskiego, sięga jeszcze czasów zaborczych i zrodziła się bezsprzecznie jeszcze w ciemniach przygotowawczej konspiracji; tam kuła się broń, tam tworzyło się i obmyślało drogi, tam wreszcie wybuchały pierwsze konflikty, dobywając się na światło dzienne w formach mniej lub więcej drażliwych. Stamtąd też wyszły dwie formy budowy zrębu gmachu państwowego: federalistyczny — Piłsudskiego i inkorporacyjny — endecki. Program Piłsudskiego, piękny i wzniosły, zapewniłby nam pierwszą rolę na Wschodzie, otworzyłby przed nami szerokie horyzonty, stawiłby nas jednak przed nieubłaganym wrogiem, Rosją, którą wgnieść w granice dawnego W. Księstwa Moskiewskiego i w nich ją utrzymać, wobec stale grożącego i nieusuwalnego niebezpieczeństwa niemieckiego, moglibyśmy chyba nie na długo. Usunęła się przedewszystkiem możność utworzenia efemerycznego państwa ukraińskiego z małoruskiego etnograficznego materjału, ciążącego w stronę Rosji. Zawarty pokój w Rydze, w którym oddajemy wprawdzie bardzo głęboki ukłon w stronę „wyzwalających się narodowości“, jest mimo wszystko zwycięstwem programu, zbliżonego do endeckiej „inkorporacji“; na takiem też stanowisku stanął rząd nasz i Sejm w sprawie załatwienia kwestji wileńskiej.

Spór o federację i inkorporację (związek narodów i wcielenie do państwa okolic polskich) wywołał jednak szereg innych kwestyj, zaognił całe życie państwowe. Około osoby naczelnika państwa skupiła się lewica polityczna, w endecji zgrupowała się prawica. I stało się to, co widzimy często w rozgrywającej się partji szachów; obydwie strony, atak i obrona, skupiają całą uwagę na jednej figurze; od jej zabrania, względnie obrony, zależy gra cała i jej wynik. Walka z osobą Józefa Piłsudskiego stała się walką lewicy z prawicą, postępu z reakcją.

My, ludowcy, znamy dobrze i uznajemy zasługi Piłsudskiego; wiemy, kim on był dla odradzającej się Polski; wiemy, że jego nazwisko było tym kitem, który nas złączył w niezapomnianych chwilach przełomu i nasz reprezentant, dr Bardel, zupełnie szczerze formułował wniosek, przyjęty przez Sejm, oddający mu godność naczelnika. Naczelnik państwa — według nas — powinien być niejako własnością całego narodu i reprezentantem ogólno-państwowej myśli; tu, w tym wypadku, stało się coś, co jest tragedją narodu i samego Piłsudskiego. Nazwisko jego i osobę wywleczono z państwowego sanktuarjum na rynek politycznego targu i sporu;

w tem położeniu nic innego stać się nie może, jeno wzmagająca się przesada w ocenie każdego jego kroku: więc szarganie jego czci i rzucanie zbrodniczych wprost podejrzeń na każdy czyn, z drugiej zaś strony często zbyt wybujała apoteoza. W sporze ginie zasłużony człowiek.

Walka przybrała formy, które zaczynają być narodową tragedją; najgorsze są objawy zastosowywania w niej złej konieczności minionych zaborczych czasów — konspiracji, która, jak wiemy, kończy się często nożem i browningiem. Stronnictwo nasze bezpośrednio do walki się nie miesza; wkracza zawsze tam, gdzie tego dobro postępu, dobro Rzeczypospolitej wymaga, zwalcza i zwalczać będzie każdy objaw rozsadzania budowli państwowej, skądkolwiek on wyjdzie.

Drugą przyczyną zaognienia się stosunków naszych jest sprawa senatu. Ma już ona w dziejach narodzin naszej konstytucji swoją historję. Kiedy nad nią zaczynano obrady, miała sama zasada senatu niewielu przeciwników; byli nimi „pryncypjalnie“ Thuguttowcy i lewica socjalistyczna. Cała reszta zasadę uznawała, różniła się jedynie pod względem zapatrywania na skład „drugiej“ Izby; podczas kiedy narodowa-demokracja z grupami obok siebie stojącemi chciała w ten sposób znaleźć środek do hamowania zbyt — według siebie — radykalnych prądów w centrum i lewicy i proponowała senat złożony, z „fachowców“, wirylistów i t. p. — inne grupy chciały w nim widzieć raczej tylko organ kontrolny, więc jakby komisję, kontrolującą uchwały Sejmu. W agitacji sięgnięto do przykładów z historji i innych państw; mówiono, iż senaty są w państwach „wielkich demokracyj Zachodu“ (dziwne jest i śmieszne to ciągłe powoływanie się przyjaciół ks. Lutosławskiego na „masońską“ Francję!), choć zapominano, iż „Senaty“ są właściwie przeżytkiem dawnych „Izb panów“, powoływano się na nasz niski poziom kulturalny i t. p. W rzeczywistości prawicy chodziło o Izbę uprzywilejowanych. Mało uwagi zwrócono także na inny pomysł „senatu“, stawiany przez skrajną lewicę. Był to wniosek o ustanowienie „Izby pracy“, na którą przelaćby miano szereg uprawnień Sejmu; na miejsce więc przywileju prawicy, proponowano przywilej lewicy. Wśród tych dwóch skrajności, dążących do uprzywilejowania, zupełnie niedemokratycznego, pewnych tylko warstw, P. S. L. porzuciło swą koncepcję „Straży praw“ i zwróciło się przeciwko zasadzie senatu. Przyszło do głosowania. Sześciu głosami przeszła zasada senatu w Izbie poselskiej. Oszołomiona zwycięstwem prawica zaczęła występować agresywnie wobec „pobitej“ lewicy; tak z winy pewnej siebie prawicy, jak niektórych żywiołów lewicy, wybuchła burza, która rzuciła cień na nasze suwerenne ciało ustawodawcze. Na komisji stanęła sprawa na martwym punkcie. Zaczęły się nieoficjalne pertraktacje z inicjatywy „języczka u wagi“, t. j. klubu Pracy konstytucyjnej na platformie senatu, wybieranego z wyborów powszechnych, z pewnemi ograniczeniami tak co do czynnego, jak i biernego prawa wyborczego. Według nas, zasa-

dniczo wziąwszy, senat tak powstały, może być instytucją i demokratyczną i w pewnych wypadkach nader pożyteczną; tkwi w nim jednak jedno niebezpieczeństwo: dwa ciała z wyborów powszechnych pochodzące, mające prawie tensam autorytet woli mas narodu, choćby miały dokładnie wyznaczony zakres działania, łatwo mogą popaść w konflikt i spór na temat tłumaczenia tego właśnie zakresu działania i wzajemnych uprawnień.

Stronnictwa muszą poważnie się zastanowić, zanim powezmą stanowczą uchwałę.

Łącznie z obradami nad konstytucją wyłoniły się pewne sprawy, których pominąć nie możemy. Jedną to sprawa łączenia godności naczelnika państwa i naczelnego wodza. Obecnie mamy na czele i państwa i armji wybitnego polityka i wytrawnego żołnierza; czy jednak zawsze tak będzie? Nie jesteśmy tymi, dla których frazes o t. zw. fachowości przesłania szersze horyzonty; wiemy, że zbyt często ci, którzy tym właśnie frazesem najwięcej wojują, nie liczą się z zasadą w nim ukrytą; zdajemy sobie też sprawę z tego, że historję arabską o „fachowości“ wytoczono właśnie przeciwko nam. W wojsku jednak życzylibyśmy sobie rzeczywiście fachowości. Naczelny wódz — dyletant, byłby zawadą w najważniejszej sprawie: obronie państwa. Wynikłaby konieczność wybierania znów chyba naczelnikiem państwa jenerała, coby przesądzało cały szereg problemów, a zwłaszcza stworzyłoby typ najgorszy i najszkodliwszy dla samego państwa: politykującego żołnierza. W pomyśle widzimy znów tylko epizod z walki o Piłsudskiego, epizod nieszczęśliwy, bo na sprawę tak trwałą, jak konstytucja, powinniśmy patrzeć stanowczo nie pod kątem widzenia dzisiejszych sporów.

Samobójczym wprost pomysłem był wniosek Thuguttowców, poparty przez Stapińszczyków o rozwiązanie Sejmu i powierzenie nowemu, wybrać się mającemu Sejmowi uchwalenia konstytucji. Byłoby to policzkiem dla tych, którzyby go uchwalili, zdradą zaufania narodu, który po to właśnie posłów do Sejmu posłał, aby uchwalili ustawy zasadnicze. Sejm, naturalnie, wniosek stanowczo odrzucił. Ciekawe to jednak dla charakterystyki naszych grup chłopskich, t. zw. „radykalnych“. Wnioskiem tym zdradzili oni cały bezmiar pustki i nicości, kryjącej się za parawanem agitacyjnego frazesu. Tego rodzaju grupki potrzebują zawsze do wyborów jakiegoś donośnie brzmiącego, popularnego i drażniącego hasła. Reforma rolna, przeforsowana i wprowadzona w życie przez P. S. L., hasłem być nie może, pokój zawarty... administracja? pewnie, że i to byłoby dobre — najdonośniej jednak brzmiałoby: Senat, to perspektywa pańszczyzny! Z poszukiwania hasła wyszedł wniosek o rozwiązanie Sejmu; został też pogrzebany.

Z aktualności zanotować chcemy jeszcze wydanie całego klubu „Postępowo-radykalnego stronnictwa chłopskiego“ pp. Okonia i Dąbala sądowi za zbrodnie zwykłych oszustw. Czyż nasz „radykalizm“ zawsze tak kończyć będzie?

MARJAN FLASINSKI.

Przegląd polityki międzynarodowej.

W Rydze zawarto układ wstępny między Polską a Rosją, na mocy którego zaprzestano działań wojennych i wytyczono, oprócz granicy, główną linję późniejszego postępowania przy definitywnem zawarciu traktatu pokojowego. Nadmienić wypada, że ów układ preliminaryjny, jak stwierdzili obaj przewodniczący delegacji: polskiej, Jan Dąbski, i rosyjskiej, Joffe, polega na wzajemnem porozumieniu. Te oświadczenia każą przypuszczać, że wkońcu dojdzie się do stanu pokojowego, nie prześladowanego widmem nowej wojny.

Tu krótko wspomnę o korzyściach, jakie daje traktat stronom interesowanym.

I tak, Polska zyskuje 135.000 km^2 ziemi, z ludnością czteromiljonową. Procent katolików na tym obszarze wynosi 44, a rysem charakterystycznym jest, że Polak lub katolik uważany tam jest za jedno i to samo. Prawosławni tworzą 42%, żydzi 12%, ewangelicy i mahometanie 2%. Narodowo statystyka wykazuje 40% Polaków, 22% Rusinów, 16% Białorusinów, 3% Litwinów, 6% Rosjan, 7% żydów narodowców, a osób tak zwanych „tutejszych“ 6%. W porównaniu z zaludnieniem we właściwej Polsce, są to prawie pustkowia. Polska, ograniczona na wschodzie tak zw. linją Curzona, obejmuje 251.000 km^2, 24 miljonów mieszkańców, o gęstości zaludnienia blisko sto na km^2, — gdy gęstość zamieszkania ziem, uzyskanych w pokoju ryskim, wynosi zaledwie 36 na km^2.

Co do Rosji, to ta wprawdzie traci pokaźny szmat ziemi, ale traci zaledwie połowę tego, co niegdyś zrabowała, na dobitek kraj o kulturze czysto polskiej, i względnej przewadze żywiołu polskiego, jedynego tu państwotwórczego, którego nawet barbarzyńska rusyfikacja nie zdołała osłabić. W ścisłem więc tego słowa znaczeniu utrata owa jest częściową rewindykacją na rzecz Polski.

Pomijając zaś wszystko, powyżej o pokoju powiedziane, sam fakt porozumienia i zakończenie wojny jest dla stron obu i ogółu, tak ważnem zdarzeniem, że wszystko inne wobec możności swobodnego oddechu i zapoczątkowania stosunków pokojowych blednie, i na plan drugi schodzi.

Oby traktat definitywny był potwierdzeniem tajonych nadziei, i rzeczywistym końcem nieszczęsnego rozlewu krwi.

Na arenie dyplomacji międzynarodowej w międzyczasie zmieniło się dosyć, a zmiany te są wskaźnikiem, jakiemi mniejwięcej drogami pójdą racje stanu.

I tak Francja wybrała nowego prezydenta republiki (skończyło się bowiem siedmiolecie rządów b. prezydenta, Poincarégo) w osobie p. Milleranda, dotychczasowego premjera. Polityka jej,

według wszelkiego prawdopodobieństwa, w swych głównych wytycznych (dopełnienie traktatu wersalskiego) nie ulegnie zmianie. Tylko zamysły jej co do tak zwanej małej koalicji (jak w poprzednim przeglądzie wzmiankowałem) uległy pewnej modyfikacji, i to co przedtem miała w nieskrystalizowanym projekcie, teraz w czyn wprowadzić zamierza. Projekt ten, to dążenie do ścisłego porozumienia Francji z Polską, Węgrami i Rumunją.

Idealne rozwiązanie problemu europejskiego, jakiem bez wątpienia byłoby współdziałanie Słowian z Romanami przeciw ogólnemu niebezpieczeństwu niemieckiemu, na razie, zdaje się, nie będzie możliwe.

Dokąd bowiem Rosja nie stanie się czynnikiem twórczym, praworządnym, dotąd o sposobie znalezienia się na platformie wspólnych interesów, trudno będzie mówić.

Wracając jeszcze do tematu małej koalicji, nadmienić wypada, że Rumunja zasadniczego interesu w niej nie ma, bo Węgry (przeciwko którym miała mała ententa być zawiązaną) poważnie jej zagrażać nie są w stanie, bo sama sił ma na tyle, aby się obronić — a natomiast potrzebuje kogoś, ktoby jej przyszedł z pomocą w razie wojny z Rosją o co tylko nabytą Besarabję. I tu jasnem jest, dlaczego Take Jonesku, rumuński minister spraw zagranicznych, podczas pobytu w Warszawie, przyjaźń swego narodu Polsce deklarował.

Ale oprócz polityki francuskiej, obliczonej na dalszą metę istnieje szukająca korzyści doraźnych i przyzwyczajająca się do świeżo wytwarzanych stosunków, polityka angielska. Ona to dąży do rewizji traktatu wersalskiego (na korzyść Rzeszy), dla celów w poprzednim artykule („Ogniwo“ Nr 1) uwidocznionych, a uzyskawszy koncesje od Niemców i udział kapitału angielskiego w eksploatacji Sląska (obecnie zrzekła się należnych jej traktatem odszkodowań), chce tę prowincję Prusom pozostawić, i stwarzając „iunctim“ między spłacalnością Niemiec a plebiscytem, podsuwa Francji motywy obawy w uzyskaniu odszkodowania i wystawia na próbę w kryzys ekonomiczny wepchniętego sojusznika. Czy zwycięży u Francuzów dalej przewidujący zmysł, dążący do wzmocnienia Polski prowincją górniczą i przez to uniemożliwienie odbudowy przemysłu militarnego Rzeszy, czy chęć większej zapłaty i utrata przewagi politycznej nad sąsiadem „z tamtej strony Renu“ najbliższy czas pokaże.

W kompleksie tych dwóch racyj stanu miała ważne miejsce dotychczas Ameryka, w ostatnich czasach idąca mniejwięcej równolegle z Francją.

Wybór jednakże nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych, którym został republikanin, senator Harding (redaktor własnego dziennika „Ohio-Star“), uwidoczniły chęć niemieszania się Ameryki północnej do kombinacyj politycznych Europy. Wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazują, że doktryna Monroego „Ameryka dla Amerykanów“ będzie w życiu politycznem Stanów zastosowaną.

Oto dwa sploty w dyplomatyce, francuski, i obecnie wzmocniony przez odpadnięcie Ameryki z rynku europejskich targów angielski. Aby czasu nie tracić na objaśnianie rzeczy i faktów, które są już tylko naturalnem następstwem tarć dwóch potężnych państw, przejdę do zestawienia krótkiego ostatnich zdarzeń.

A więc na wschodzie generał wojsk polskich, Żeligowski, wraz z armją, której żołnierze pochodzą z ziemi wileńskiej, wyłamuje się z pod dyscypliny wojskowej i siłą zajmuje Wilno i okolicę. Sprawa dłuższy czas jest przedmiotem rozważań na zachodzie, ale z faktem dokonanym liczą się coś niecoś Anglicy, decydują się i Francuzi, i na propozycję rządu polskiego naznacza Liga narodów plebiscyt. Na północy zaś Gdańsk zostaje ogłoszony wolnem miastem, a Polska, po uzyskaniu korzystniejszych dla siebie zmian w interpretacji artykułów traktatu wersalskiego (odnoszących się do Gdańska), postanawia podpisać konwencję Rzeczypospolitej z wolnem miastem. Na południu znowu (Górny Śląsk), jak ostatnie telegramy doniosły, wyznaczono plebiscyt na koniec stycznia.

Pod niebem włoskiem i jugosłowiańskiem, dokonało się nareszcie porozumienie. Przedstawiciele: połączonego królestwa, Serbów, Kroatów i Słoweńców podpisali układ, oddający Rjekę z dostępem lądowym i 4 wyspy dalmatyńskie Włochom.

Ojczyzna Venizelosa przechodzi (z powodu śmierci młodego Aleksandra) zmianę panującego; odżywają i głowę podnoszą stronnicy dawnego króla, Konstantyna, wroga, największego męża stanu, jakiego kiedykolwiek Grecja posiadała: Venizelosa, a który spowodował w czasie wielkiej wojny opuszczenie kraju przez Konstantyna, rzecznika polityki mocarstw centralnych, aby poprowadzić naród wespół z koalicją do dzisiejszej siły i znaczenia.

Stosunki polityczne na południowym wschodzie (Mała Azja) przedstawiają się, jako rywalizacja wpływów angielskich, francuskich, włoskich i greckich.

Co tylko sygnalizowana klęska Wrangla otwiera nowe horyzonty dla polityki Zachodu z jednej strony, a dla rozpoczynających się obecnie pertraktacyj definitywnych polsko-sowieckich z drugiej strony.

Anglja prawdopodobnie wróci do t. zw. układów handlowych z Moskwą. Francja zaś spróbuje popierać prawdziwych socjalistów rosyjskich, uważając ich za jedyną partję, zdolną do skutecznego zwalczania bolszewizmu. Sprawa polska nabiera więc znowu na znaczeniu, wszak to jedyne państwo, które armjom czerwonym skuteczny stawiło opór.

Uwagi i materjały.

Czy wykonano testament J. U. Niemcewicza? Dowód niezłomnej wiary w odrodzenie niepodległej Polski, którą żył

przez wszystkie swe służbie ojczystej poświęcone lata, złożył J. U. Niemcewicz w kodycylu do testamentu swego, którego egzekutorami ustanowił ks. A. Czartoryskiego, jenerała Kniaziewicza i synowca swego Karola Ursyna Niemcewicza. — Czytamy tam: „ . . . . . 5.000 fr. pewnie umieścić na procent, który niech rośnie do czasu odzyskania niepodległej Polski. A wtenczas niech razem z kapitałem dany będzie Polakowi, któryby pierwszy odniósł zwycięstwo nad Moskalami. Dan w Paryżu, 22 lipca 1840. Juljan Ursyn Niemcewicz.“

Przeczuwając jednak trudność rozstrzygnięcia komu będzie w przyszłości należało przyznać to pierwszeństwo, uzupełnił w dwa dni później poprzednie rozporządzenie nowem: „Jeśli trudny zda się ostatni w kodycillu mym legat, niech summa 5.000 fr. na doskonalących się w górnictwie i mechanice, podług zdania exekutorów użytą będzie. 24 lipca 1840. Juljan Ursyn Niemcewicz.“

Kiedy więc dziś wybiła już ta godzina wymarzona przez 83-letniego adjutanta Kościuszki, zapytać się nam należy, czy i jak wykonano jego ostatnią wolę, w której objawiła się nam niczem nieskażona, wytrwała i żywa wiara w przyszłość Polski.

Oczekujemy odpowiedzi! *St. S.*

Przymus pracy w Bułgarji. Ludowy Sejm bułgarski (jak wiadomo, opierający się na posłach t. zw. małej własności) uchwalił ustawę o przymusie pracy. Ustawie podlegają wszyscy obywatele obojga płci, a to mężczyźni po skończonym 20, kobiety po 16 roku życia; ustawa zwalnia od przymusu jedynie kobiety mahometańskie, oraz osoby, które stwierdzą ponad wątpliwość niezdolność do pracy zarówno fizycznej, jak umysłowej; zwolnione mogą być także kobiety zamężne dla prac w domowem gospodarstwie, oraz mężczyźni przez wzięcie ich do wojska. Ustawa przewiduje także t. zw. „ochotników pracy“, t. j. chłopców od 17, dziewczęta od 12 roku życia, którzy się dobrowolnie zgłoszą.

Ludowcy we Włoszech. Trudności rządu włoskiego, oraz bezprogramowość i bierność partyj, popierających go, skłoniły włoskich ludowców do przedsięwzięcia szeregu śmiałych reform społecznych. Pierwszą z reform ma być załatwienie kwestji agrarnej; proponują oni utworzenie licznej warstwy posiadaczy małej własności ziemskiej, opartej na kooperatywie i syndykatach. Szereg większych własności ziemskich ma być zagospodarowany kooperatywnie przez chłopów. Aby znów załatwić palącą, zwłaszcza we Włoszech, sprawę robotniczą, proponuje się danie robotnikom udziału w zyskach przedsiębiorstw, oraz oparcie całego życia gospodarczego na współpracy kapitału i siły roboczej.

Zamierzone jest utworzenie czegoś w rodzaju „Sejmu pracy“; ma on liczyć 150 delegatów, wybranych przez robotników i pracodawców w równych częściach; zająłby się on kwestją pracy, produkcji i t. p., i wobec parlamentu miałby prawo inicjatywy. Specjalnie regulowałby stosunek pracy do kapitału. Złożony byłby z sekcji handlowo-przemysłowej i rolniczej.

Jak widzimy, ludowcy włoscy załatwiają jednym zamachem kwestję rolną i robotniczą; stąd też ich wpływy rozszerzyły się i na miasta, gdzie spodziewają się przy przyszłych wyborach zwyciężyć inne partje; nie obejmują one bowiem, jak stronnictwo ludowe, całokształtu piekących spraw państwa.

„Związki zawodowe“ w Rosji bolszewickiej. Jak wiemy cały t. zw. sowiecki system Rad opiera się głównie na związkach zawodowych robotników. One są trzonem organizacji obecnej Rosji — przez nie rządzi się obecnie olbrzymiem imperjum. Ciekawy jest ich wykaz i skład, według komisarza S. Bobińskiego, który składa z ich działalności sprawozdanie w „Kalendarzu komunistycznym“ na r. 1920, wydanym w Moskwie-Smoleńsku.

Komunistyczne związki zawodowe całej Rosji miały po wybuchu rewolucji bolszewickiej 1,475.429 członków. (Anglja miała ich przed wojną okrągło 5 mil., Stany Zjednoczone 4 mil., Niemcy $2^1/_2$ mil., Francja 800 tys. i t. d.) Obecnie do tych związków należy 4,328.000 członków; jak wiemy, są to ludzie uprzywilejowani, coś w rodzaju dawnej „warstwy uprzywilejowanej“ — więc na miljony Rosjan cyfra za mała, z czego widać, iż mimo wszystko ludność nie dość chętnie podpisuje bolszewickie „cyrografy“.

Co do struktury organizacyjnej najniższą komórką są komitety fabryczne, które się łączą w oddziały powiatowe jednego zawodu, te w gubernjalne, a następnie w „Komitet centralny danego ogólnorosyjskiego związku zawodowego“. Na czele wszystkich związków stoi „Ogólnorosyjska Rada związków zawodowych“.

Największą liczbę członków mają (początek r. 1920) gubernje moskiewska (607.083) i piotrogrodzka (340.118), najmniejszą nowogrodzka (7.448) i wołogodzka (2.859).

Duże zainteresowanie wzbudzić musi wykaz i zestawienie członków „główniejszych“ związków; jest ich 29 o 3,130.275 członkach. Tak n. p. cały związek górniczy ma 13 tys. członków, a robotników drzewnych 50 tys., gdy n. p. związki pracowników aptecznych i medyczno-sanitarnych mają 330 tys. członków; najciekawszy byłby tu chyba wykaz wyznaniowy, ponieważ może okazałby o ile tam pewne „mniejszości“ narodowe stają się większościami w pewnych „lżejszych“, więc „medyczno-aptekarsko-sanitarnych“ zawodach (vide austrjacki Czerwony Krzyż!)

Dużo o czystej gospodarce socjalistycznej mówi podział tych główniejszych związków na robotników, którzy pracują w fabrykach, warsztatach, więc ludzi produkujących, z tymi, którzy administrują, więc niejako pasożytujących na ciele komunisty. Z ogólnej nazwy związków, o jakich się wogóle w Europie nie słyszy (n. p. Związek zawodowy „operacyj kredytowych“ i osobny „finansowców“ — czyżby „czarne giełdy“?) często ciężko wywnioskować, co to jest za zawód, więc może całość zestawienia nie będzie zbyt dokładna.

Na ogólną liczbę 3,130.275 członków główniejszych związków obejmują zawody administracyjne, działaczy komunistycznych i t. p.,

którebyśmy naszym terminem określili, jako urzędnicze, członków 1,017.031, a więc trzecią część. Ziściły się więc w Rosji przewidywania tych sceptyków, którzy twierdzili, iż ustrój socjalistyczny wymaga takiej falangi administracyjnych sił, iż one same zjadłyby cały organizm państwowy.

Zarzut ten przewiduje i sprawozdawca; pociesza jednak swych towarzyszy tem, iż z tego nie wyniknie przecież nic złego, ponieważ urzędników wszystkich wybiera się tylko na 6 miesięcy — nie może się więc wytworzyć warstwa biurokracji. Nie mówi jednak nic o tem, z czego sobie pewnie dokładnie zdaje sprawę, iż jedna trzecia część robotników odrywana jest od produkcyjnej pracy, a żywić ją muszą pozostali. Czyż więc nie zorjentuje się kiedy robotnik, iż wkońcu dla niego wszystko jedno kogo żywi: komunistycznego urzędnika, czy „kapitalistyczną pijawkę“?

Charakterystyczne. W „Sprawozdaniu z 1 Zjazdu robotników rolnych Litwy“ (Wilno, luty 1919 r.) czytamy, co następuje:

„Zjazd o godzinie 3 po południu dnia 15-go lutego otworzył przemową w języku litewskim tow. Aleksa-Angarietis, komisarz spraw wewnętrznych... Podczas mowy tow. Aleksy zaczęły się podnosić głosy, że większość nie rozumie po litewsku i żeby wobec tego poddać pod głosowanie, w jakim języku mają się toczyć obrady: po polsku, czy po litewsku. Prezydjum jednak głosowanie w tej sprawie uchyliło ze względu na to, że większość nie może drogą głosowania narzucać mniejszości swego języka. Przez podniesienie rąk stwierdzono, że znaczna większość mówi po polsku, kilkudziesięciu jednak delegatów chciało mówić po litewsku. Po gorącem przemówieniu tow. Bobińskiego, nawołującem do braterstwa i wzajemnego poszanowania języków i wskazującem na to, że polska większość jest tylko czasowa(?!)... nastąpiła harmonja“.

W innem miejscu czytamy, iż delegatów było „ponad 250“, mówiących po litewsku tylko „koło 60“, „reszta podała język polski, albo polski i ruski (kilku)“. Z wynurzenia bolszewickiego znów jasno się wykazuje, że polską jest na Litwie nietylko szlachta i burżuazja, ale i proletarjat, na zjazd dopuszczono bowiem tylko robotników bezrolnych.

Wydawca: Dr Michał Habuda. Red. odp.: Jan Owiński.

Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, ulica Jagiellońska 10.